

Charles Dickens

Opowieść wigilijna

BRYK  PL



Opracowanie lektury dostępne na stronie [Bryk.pl](https://bryk.pl)

Opowieść wigilijna
tłum. nieznany

I. Duch Marleya

Zaczął się od tego, że Marley umarł. To żadnej nie ulega wątpliwości. Protokół pogrzebu podpisali: ksiądz, urzędnik, grabarz i właściciel zakładu pogrzebowego. Scrooge także go podpisał, a nazwisko Scrooge'a miało poważny walor na giełdzie zawsze, cokolwiek by podpisał.

Stary Marley był więc martwy jak świek w drzwiach.

Tu mała uwaga.

Nie chcę wcale przez to powiedzieć, że wiem z własnego doświadczenia, jakoby na świecie nie istniało nic bardziej martwego nad świek w drzwiach. Co do mego osobistego poglądu, sądziłbym raczej, że świek w trumnie jest najbardziej martwym artykułem w handlu żelaznym. Lecz mądrość naszych przodków kryje się w tym porównaniu i moje niepoświęcone ręce nie będą zmieniały tradycji narodowej, bo kraj mógłby przez to ucierpieć. Niech mi więc będzie wolno powtórzyć z naciskiem, że Marley był martwy jak świek w drzwiach.

Czy Scrooge wiedział o jego śmierci? Oczywiście, że wiedział. Jakżeby mogło być inaczej? Scrooge i on byli współnikami, nie wiem przez ile lat, w każdym razie bardzo długo. Scrooge przy tym był jedynym egzekutorem, jedynym spadkobiercą, jedynym administratorem, jedynym przyjacielem Marleya i jedynym człowiekiem, który szedł za jego trumną. A nawet i Scrooge nie był znów tak bardzo dotknięty tym wypadkiem, bo okazał się doskonałym biznesmenem w dniu pogrzebu i uczcił go korzystnym interesem.

Wzmianka o pogrzebie Marleya przypomina mi, o czym mam mówić.

Otóż nie ulega wątpliwości, że Marley nie żył. Musimy to wyraźnie zaznaczyć, bo inaczej nic zdumiewającego nie byłoby w wypadkach, które chcę opowiedzieć. Każdy bowiem to przyzna, że gdybyśmy nie byli najmocniej przekonani, iż ojciec Hamleta umarł, zanim przedstawienie tragedii się zaczyna, to jego błędzenie nocą, podczas wschodniego wiatru i to po swoich własnych wałach fortecznych, w celu wstrząsania umysłu swego syna, umysłu i bez tego słabego, nie miałoby w sobie nic bardziej osobliwego, jak spacer pierwszego lepszego podstarzałego jegomościa o zmierzchu wieczornym, na przykład po cmentarzu świętego Pawła.

Scrooge wcale nie kazał zamalować nazwiska starego Marleya na szyldzie swego domu handlowego. Dlatego po wielu latach można było czytać nad drzwiami wejściowymi tego domu szyld: „Scrooge i Marley”. Firma ta znana była powszechnie. Czasami nowicjusze w interesach handlowych nazywali Scrooge'a Scrooge, czasami Marley, on zaś odpowiadał na obydwa nazwiska. Dla niego to było zupełnie wszystko jedno.

Trzeba przyznać, że Scrooge miał silnie zaciśniętą rękę, gdy przyszło do interesu. Chwytała ona, ścisnęła, dusiła, ze skóry obdzierała swoją ofiarę i nie wypuszczała jej, aż po doszczętnym wyzyskaniu. Był to jednym słowem chciwy i stary grzesznik. Twardy i ostry jak krzemień, z którego żadna stal nie mogła wydobyć szlachetnego ognia; zamknięty w sobie, milczący i samotny jak ostryga. Zimno wewnętrzne mroziło jego starcze rysy, szczypało spiczasty nos, marszczyło policzki, czyniło jego chód sztywnym, zaczerwieniało mu oczy, zabarwiało na niebiesko usta i brzmiało gniewnie w jego ostrym głosie. Mroźny szron pokrywał jego głowę, brwi i chudą brodę. Nosił ustawicznie ze sobą swą lodowatą temperaturę, zamrażał nią swe biuro podczas upału i nie podwyższał jej ani o jeden stopień nawet podczas wigilii Bożego Narodzenia.

Zewnętrzne ciepło lub zimno nie miało wcale wpływu na Scrooge'a. Żadne ciepło nie mogło go ogrzać, żaden mróz więcej oziębic. Nie było wiatru bardziej niż on gryzącego, nie było śniegu padającego z większą wytrzymałością ani też siekącego deszczu mniej dostępnego błaganiom i prośbom. Niepogoda nie wiedziała, z której strony zaatakować go, największy deszcz, śnieg, grad albo zawierucha miały nad nim wyższość pod jednym tylko względem: one często okazywały się szczodre, spadały na świat i ludzi hojnie, Scrooge zaś nie rozumiał wcale pojęć szczodrość lub hojność.

Nikt nigdy nie zatrzymał go na ulicy z uśmiechem przyjaznym, aby powiedzieć: „Mój kochany Scrooge, jak się masz? Kiedy też raczysz mnie odwiedzić?” — Żebracy nie prosili go o jałmużnę, dzieci nie pytały o godzinę, żadna kobieta, ani też żaden mężczyzna nigdy nie pytał Scrooge'a o drogę. Nawet psy ślepców zdawały się znać go i gdy widziały go nadchodzącego, wciągały swych właścicieli do sieni kamienic lub na podwórze, a potem machały ogonami, jakby chcąc powiedzieć:

— Brak oka jest lepszy od złego oka, mój niewidomy panie!

Ależ co to obchodziło Scrooge'a? On tego właśnie pragnął. Iść samotnie przez życie, odpychać od siebie wszelką ludzką sympatię — to, zdawało się, wybrał sobie Scrooge za cel i tej drogi się trzymał niewzruszenie. Odstęczanie od siebie, przerażanie lodowatym

chłodem spotykanych ludzi było dla niego tym, czym jest słodka legumina dla małych łakomców.

Pewnego razu — było to właśnie w wigilię Bożego Narodzenia — stary Scrooge siedział w swym kantorze przy pracy. Dzień był przejmująco mroźny, wietrzny i mglisty. Ludzie, chodząc po ulicach, chuchali w dłonie, bili rękoma o piersi i silnie uderzali stopami o bruk dla rozgrzania się. Zegary miejskie wybiły dopiero trzecią, a już było zupełnie ciemno.

Przez cały ten dzień niewiele widziało się słońca — świece migotały w oknach sąsiednich biur, podobne do rudawych pręg na gęstym, brunatnym powietrzu. Mgła wdzierała się do mieszkań przez każdą szparę i dziurkę od klucza, a tak była gęsta, że domy na przeciwnej stronie wąskiej ulicy trudno było dojrzeć. Patrząc na owe opony mgły, które spuszczały się coraz niżej, osnuwając wszystko posępnym, mroźnym, do kości przejmującym mrokiem, można było sądzić, że natura, rozsiadłszy się gdzieś w pobliżu, odbywała jakieś złowrogie praktyki.

Drzwi pokoju były otwarte umyślnie, aby Scrooge mógł mieć na oku swego pomocnika, który siedział w ponurej, małej izdebce do ciemnej studni podobnej i kopiował listy. Na kominku w pobliżu Scrooge'a tlał bardzo skromny ogień; ale w izdebce pomocnika żarzył się omdlewająco jeden tylko węgielek. Zziębnięty pracownik nie mógł jednak podsycić ognia, ponieważ Scrooge trzymał skrzynię z węglami w swoim pokoju, a ile razy pomocnik wszedł z łopatką, pryncypał zawsze mu groził, że będą musieli się rozstać, wskutek czego biedny pomocnik obwinał szyję białym szalikiem i usiłował ogrzać się przy świecy; ponieważ atoli nie posiadał dość bujnej imaginacji, usiłowania były bezskuteczne.

— Wesołych świąt, wuju! Niech cię Bóg ma w swej opiece! — zawołał młody, sympatyczny głos.

Był to głos siostrzeńca Scrooge'a, który wszedł tak nagle i szybko, że Scrooge wtedy dopiero zauważył jego obecność, kiedy siostrzeniec do niego przemówił; inaczej byłby go z pewnością nie wpuścił.

— Cóż znowu za głupstwa?! — mruknął Scrooge.

Siostrzeniec Scrooge'a tak się rozgrzał szybkim chodem wśród mgły i mrozu, że cały był rozpromieniony; piękna twarz jego jaśniała, oczy błyszczały, a płuca wyrzucały chmury pary.

— Świeta nazywasz głupstwem, wuju? — zawołał siostrzeniec. — Jestem pewny, że nie myślisz tego!

— Przeciwnie, tak myślę — odrzekł Scrooge. — I mam zupełną słuszość. Wesołych świąt! Jakiż ty masz powód być wesołym? Jakiż ty możesz mieć powód do wesołości? Ty, biedak?

— Doskonale! — roześmiał się siostrzeniec, zacierając ręce. — A jakiż ty masz powód być ponurym, wuju? Jakaż ty możesz mieć rację do smutku? Ty, bogacz?

Scrooge, nie mając pod ręką żadnej odpowiedzi, powtórzył znowu:

— Głupstwo!

— Nie bądź taki kwaśny, wuju! — rzekł siostrzeniec.

— Czy mogę być inny — gderał cierpko wuj — kiedy zmuszony jestem żyć w świecie głupców? Wesołych świąt!... Do licha z wesołymi świątami! Znać ich nie chcę! Czymże są święta Bożego Narodzenia dla ciebie na przykład, jeśli nie terminem płacenia rachunków, a zwykle wtedy jesteś bez grosza. Z każdym Bożym Narodzeniem jesteś o rok starszy, lecz ani o włos bogatszy. W ten dzień przeprowadzasz bilans twoich ksiąg handlowych i przekonujesz się, że po dwunastu miesiącach galerniczej pracy nie masz ani odrobiny zysku... Gdybym był pracodawcą — mówił dalej Scrooge z zawziętością — wówczas każdy idiota włączający się z życzeniem „wesołych świąt” zostałby ugotowany z jego własnym puddingiem świątecznym i pogrzebany z gałązką ostrokrzewu zatkniętą w serce... To byłoby prawo rozsądne i słuszne!

— Wuju! — mitygował go łagodnie siostrzeniec.

— Siostrzeńcze! — przetrwał wuj surowo. — Święć dzień Bożego Narodzenia na swój sposób, a mnie pozwól obchodzić go po mojemu.

— Obchodzić! — powtórzył siostrzeniec. — Ależ ty go wcale nie obchodzisz, wuju...

— Dajże mi już pokój, do licha! — sarknął Scrooge. — Zobaczymy, co ci dobrego przyniosą tegoroczne święta. One ci zawsze wiele dobrego przynoszą!

— Przyznaję, że wiele jest rzeczy, z których mogłem osiągnąć korzyści, a z których jednak nie korzystałem — odparł siostrzeniec. — Między innymi, święta Bożego Narodzenia! Mimo to zawsze myślę o nich nie tylko jako o świętej i czcigodnej pamiątce dla całego chrześcijańskiego świata, ale także jako o chwilach bardzo upragnionych. Są to bowiem chwile dobre, pokrzepiające, miłościwe, radosne. Zawsze oczekuję ich z serdecznym pożądaniem, a witam i obchodzę ze wzruszeniem i radością. Są to bowiem, według mego przekonania, w długim kalendarzu rocznym jedyne dni, w których wszyscy, kobiety i mężczyźni, jakby na podstawie wspólnej ugody, otwierają swe zaryglowane serca i myślą o bliźnich na niższym szczeblu drabiny społecznej, widząc w nich rzeczywiście braci i towarzyszy podróży na drodze do grobu, a nie inną rasę

stworzeń, dążących w przeciwną stronę, stworzeń niższych i słusznie upośledzonych. I dlatego, wuju, choć święta te nigdy nie przyczyniły mi w kieszeni ani ziarnka srebra lub złota, wierzę, że przyniosły mi niejedno dobro i że przyniosą mi jeszcze wiele radości. Dlatego też zawsze powtarzam: niech będą błogosławione!

Pomocnik Scrooge'a, ślęczący nad robotą w sąsiedniej izdebce, gorąco przyklasnął tym dowodzeniom, spostrzegłszy atoli niewłaściwość swego entuzjazmu, zaczął rzekomo poprawiać ogień swego kominka. Czynił zaś to tak niezręcznie, że zgasił ostatnią iskierkę.

— A to co znów za moda na odrywanie się od pracy i wtrącanie się tam, gdzie nie potrzeba? — zgromił go ostro Scrooge. — Odezwij się pan choć słówkiem jeszcze, a upamiętnię ci dzień Bożego Narodzenia dymisją... Jesteś nie lada mówcą — dodał, zwracając się do siostrzeńca. — Dziwi mnie, dlaczego dotychczas nie zasiadasz w parlamencie.

— Nie gniewaj się, wuju! Przyjdź do nas jutro na obiad.

Scrooge odpowiedział z ironią, że przyjdzie. Przyjdzie z pewnością — zaraz się zacznie wybierać. Nic nie ma lepszego do roboty. Siostrzeniec zrozumiał, że była to stanowcza odmowa. Zapytał więc łagodnie:

— Dlaczego odmawiasz, wuju? Dlaczego?

— A dlaczego ożeniłeś się?

— Ponieważ pokochałem.

— Ponieważ pokochałeś! — powtórzył Scrooge, przedrzeźniając go w ten sposób, jak gdyby miłość i małżeństwo były największym na świecie głupstwem po Bożym Narodzeniu. — Bywajże mi zdrów, drogi siostrzeńcze!

— Lecz ty, wuju, nigdy nie odwiedziłeś mnie nawet wówczas, zanim się to stało. Dlaczegoż więc przedstawiasz to obecnie za powód odmowy?

— Bądź zdrów! — powtórzył Scrooge.

— Niczego od ciebie nie potrzebuję i o nic cię nie proszę, dlaczegoż więc nie możemy być przyjaciółmi?

— Bądź zdrów! — mruknął Scrooge.

— Przykro mi bardzo, żeś taki twardy. Nigdy nie mieliśmy żadnej sprzeczki, do której ja dałbym powód. Trudno! Uczyniłem propozycję jedynie ze względu na Boże Narodzenie, a chociaż mi się ona nie udała, zachowam pogodne i radosne usposobienie. Zatem wesołych świąt, wuju!

— Bądź zdrów! — znów powtórzył Scrooge.

— I pomyślności z Nowym Rokiem!

— Bądźże zdrow i odczep się ode mnie! — zamruczał już groźnie Scrooge.

Siostrzeniec opuścił wuja spokojnie, bez wymówek. Przy drzwiach zatrzymał się, aby złożyć życzenia pomocnikowi, który, choć zmarznięty do kości, okazał się cieplejszy od swego pryncypała, gdyż odpowiedział na życzenia uprzejmie i serdecznie.

— Macie drugiego idiotę! — mruczał Scrooge, który słyszał wymianę życzeń. — Mój pomocnik, posiadający rodzinę i piętnaście szylingów tygodniowo na jej utrzymanie, mówi o „wesołych świętach”! Chyba wstąpić do szpitala wariatów!

Pomocnik, odprowadziwszy do drzwi siostrzeńca Scrooge'a, wpuścił jakichś dwóch jegomościów. Byli to poważni obywatele, o przyjemnej powierzchowności; zdjęwszy kapelusze, stanęli przy biurku Scrooge'a. Trzymając w rękach portfele i papiery, skłonili mu się uprzejmie.

— Firma Scrooge i Marley, jeżeli się nie mylę? — zapytał jeden z nich, zaglądając do swej listy. — Czy mam przyjemność mówić z panem Scrooge czy z panem Marleyem?

— Mister Marley umarł już siedem lat temu — odparł Scrooge. — Właśnie dziś w nocy upłynie siedem lat, jak Marley umarł.

— Nie wątpimy, że jego następca godnie reprezentuje jego szczodroblliwość — powiedział ten sam gość, przedstawiając swoje pełnomocnictwo do zbierania ofiar dla biednych.

Zaiste, nie mylił się, gdyż Scrooge i Marley były to dwie bliźniacze dusze. Słyszając niemiły wyraz „szczodroblliwość”, Scrooge zmarszczył brwi, potrząsnął głową i zwrócił dokumenty jałmużnikowi.

— Z okazji tak wielkiej uroczystości, panie Scrooge — mówił ów jegomość, nie zważając na to i ujmując pióro — ludzie zamożniejsi nie uchylają się od wsparcia nędzarzy i wydziedziczonych, którzy teraz właśnie, podczas silnych mrozów, na wielkie są narażeni cierpienia. Jest to zresztą prostym obowiązkiem zamożnych przychodzić z pomocą bliźnim pozbawionym możliwości zaspokojenia podstawowych potrzeb życiowych...

— Alboż nie ma więzień? — przerwał mu Scrooge.

— Niestety, mamy ich jeszcze bardzo wiele! — odparł jałmużnik, odkładając na bok pióro.

— A przytulki, domy pracy i domy poprawy, czy te instytucje przestały istnieć? — zapytał znów Scrooge.

— I one, oczywiście, istnieją, chociaż należy pragnąć, żeby się stały niepotrzebne.

— A zatem wszystkie te instytucje istnieją i są czynne? — badał gościa w dalszym ciągu Scrooge.

— Są bardzo czynne, bez chwili wypoczynku — brzmiała odpowiedź.

— Chwała Bogu! Pańskie żądanie i to, co pan na wstępie powiedziałeś, przyprawilo mnie o obawę, że coś wstrzymało ich użyteczną działalność. Bardzo mnie cieszy, że tak nie jest. Zachwycony jestem moją omyłką.

— Ponieważ wiadomo powszechnie, że instytucje wspomniane, pomimo usilnych zabiegów, nie są w stanie po chrześcijańsku zaspokoić potrzeb ani duchowych, ani cielesnych wielkich mas nędzarzy, przychodzimy im z pomocą, zbierając ofiary na dostarczenie choć najbiedniejszym jadła, napojów i środków do ogrzania zlodowaciałych ich mieszkań. Wybieramy ten czas, ponieważ w te wielkie święta bieda najwięcej daje się we znaki, a dostatek najwięcej się raduje i używa. Na jaką sumę mam pana zapisać?

— Proszę mnie wcale nie zapisywać — odpowiedział Scrooge.

— Rozumiem, życzysz pan sobie pozostać ofiarodawcą bezimiennym?

— Życzę sobie, aby mnie zostawiono w spokoju — rzekł Scrooge. — Skoro mnie panowie pytacie o moje życzenia, oto jest odpowiedź. Nie cieszę się ani używam sam podczas świąt Bożego Narodzenia i nie stać mnie na to, abym przyczyniał się do wesołości i używania próżniaków. Wspieram instytucje, o których wspomniałem; kosztują mnie one dosyć; tam niech więc udadzą się ci, którym nie jest dobrze we własnych domach.

— Wielu nie może się tam dostać, a wielu wolałoby raczej umrzeć, niż tam się znaleźć — zauważył jałmużnik.

— Skoro wielu wolałoby raczej umrzeć — odparł Scrooge — niechże to uczynią i tym sposobem zmniejszą nadmiar ludności. Zresztą, proszę wybaczyć, ja się na tych sprawach nie znam i w ogóle mało mnie one obchodzą.

— Możesz się pan z nimi zapoznać bardzo łatwo, trzeba tylko trochę serca i dobrej woli.

— Ani myślę, to nie mój interes. Wystarczy, jeżeli człowiek zna i rozumie swój własny interes i nie miesza się do cudzego. Mój pochłania mnie całkowicie. Zatem: mam honor pożegnać szanownych panów.

Jałmużnicy, widząc, że nic tu nie wskórają, wzruszyli tylko ramionami i wyszli. Scrooge zaś zabrał się do pracy w znacznie lepszym niż zazwyczaj usposobieniu.

Tymczasem mgła i ciemność tak zgęstniały, że na ulicach zjawili się ludzie i biegali z pozapalnymi latarniami, ofiarując się iść przed końmi ciągnącymi powozy i prowadzić je po właściwej drodze. Starożytna wieża kościoła, z której gotyckiego okna ciekawie spoglądał wciąż na Scrooge'a stary rozbity dzwon, zniknęła i ów dzwon wybijał godziny oraz kwadranse wśród mgły z tak silnymi wibracjami, jak gdyby mu zęby szczękały z zimna.

Mróz bowiem z każdą niemal chwilą się wzmaczał.

Na rogu głównej ulicy robotnicy naprawiający rury gazowe rozpalili wielkie ognisko, wokoło którego zebrała się gromadka obdartych mężczyzn i dzieci; grzali oni swe skostniałe ręce i mrużyli oczy, rozkoszując się przyjemnym ciepłem. Ponieważ kranu wodociągowego nie zamknięto, przeto wypływająca z niego woda niebawem krzepła, tworząc ponure kręgi lodu. Na wystawach sklepów gałązki i jagody ostrokrzewu pękały w cieple lamp, które oświecały też blade twarze przechodniów. Składy drobiu i wiktuałów pourządzały tak imponujące widowiska, że zdawało się, iż pozioma myśl kupna, sprzedaży i targu nie może mieć z nimi nic wspólnego.

Lord major we wspaniałym pałacu swoim wydawał rozkazy pięćdziesięciu kucharzom i piwniczym, aby przystroili stół świąteczny, jak na dom takiego dygnitarza przystało; nawet ów nędzny krawiec, którego przed tygodniem ten dygnitarz skazał na pięć szylingów kary za pijaństwo i awanturowanie się po ulicy, przygotowywał na swym poddaszu jutrzejszy pudding, a jego wychudła żona wyszła z nie mniej wychudłym dzieckiem po sprawunki do miasta.

Mgła i mrok coraz bardziej się zwiększały. Zimno przejmowało do kości. Gdyby dobry święty Dustan dotknął takim zimnem nosa złego ducha, zamiast używać swej zwykłej broni, szatan z pewnością narobiłby wrzasku na cały świat.

Pewien młodociany właściciel małego, chudego nosa, nadgryzanego i chrupanego przez głodne zimno tak, jak psy chrupią kości, pochylił się przy dziurce od klucza do drzwi wejściowych kantoru Scrooge'a, aby szanownego przedstawiciela firmy uraczyć pieśnią świąteczną; lecz zaledwie zdążył wyśpiewać pierwsze wyrazy:

„Boże, błogosław cię, dobry panie!

Niech ci nic nie zamąci radości...”

Scrooge pochwycił linię z taką energią i tak groźnym ruchem, że śpiewak uciekł przerażony, przekładając nad ową dziurkę od klucza więcej przyjazną mgłę, a nawet więcej przyjazny mróz.

Wreszcie nadeszła godzina zamknięcia kantoru.

Scrooge z niechęcią opuścił swój stół i w milczeniu dał znak pomocnikowi, który natychmiast zgasił świecę i włożył kapelusz na głowę.

— Sądzę, że pan życzy sobie być wolny przez cały dzień jutrzejszy? — zapytał Scrooge.

— Jeśli pan uważa to za właściwe... — szepnął nieśmiało pomocnik.

— Ja wcale nie uważam tego za właściwe. Tak... nie widzę w tym nic właściwego. Jestem pewny, że gdybym potrafił panu z pensji należność za ten dzień, uczułbyś się pan pokrzywdzony?

Pomocnik uśmiechnął się łagodnie.

— A jednak — ciągnął Scrooge — pan nawet nie pomyślisz o tym, że ja mogę się uczuć pokrzywdzony, płacąc panu całkowite wynagrodzenie za dzień świąteczny.

Pomocnik zauważył lękliwie, że święto Bożego Narodzenia przypada raz do roku.

— Liche to usprawiedliwienie okradania kieszeni swego pracodawcy każdego 25 grudnia — zrzędził Scrooge, zapinając palto aż pod brodę. — Mniejsza z tym. Ważniejsze jest to, żebyś pan, zmarnowawszy na próżniactwie cały ten dzień jutrzejszy, przyszedł do zajęcia wcześniej dnia następnego.

Pomocnik przyrzekł zastosować się do tego żądania, po czym Scrooge wyszedł, wciąż mruczając gderliwie.

Kantor został zamknięty w mgnieniu oka i pomocnik, otuliwszy szyję białym szalikiem, którego końce zwieszały mu się poniżej pasa (biedak nie miał palta...), wesoło wybiegł na ulicę. Chcąc uczcić wieczór wigilijny, przejechał się ze dwadzieścia razy po lodzie na Cornhill, będąc ostatnim w szeregu ochotników bezpłatnej ślizgawki, następnie popędził do domu przy Camden Town tak szybko, jak mógł, aby się jeszcze zabawić z dziećmi w „ciuciubabkę”.

Scrooge spożył bardzo skromny obiad w posępnej garkuchni, do której stale uczęszczał, a przeczytawszy wszystkie znajdujące się tam dzienniki i urozmaiciwszy sobie resztę wieczoru przejrzeniem swych notatek handlowych, udał się do domu.

Zajmował lokal, w którym ongiś mieszkał jego zmarły wspólnik. Składał się on z szeregu ponurych i pustych pokojów, a mieścił się w starym, ciemnym budynku, wznoszącym się przy końcu głuchego jakiegoś zaułka. Wielki ten dom tak nie harmonizował z wąską i krótką uliczką, że można było przypuszczać, iż znalazł się tu przypadkowo, bawiąc w czasie swej młodości z innymi domami w „chowanego”, a zapomniawszy drogi powrotnej, pozostał tu już na zawsze.

Dziś jest on stary i ponury. Oprócz Scrooge'a nikt w nim nie mieszkał. Reszta lokali była wynajęta na biura i kantory. Dziedziniec domu był tak ciemny, że nawet Scrooge, który znał każdy kamień, zmuszony był przechodzić go po omacku. Mgła i szron osnuły czarną bramę tak szczelnie, iż zdawało się, jakoby duch smutku siedział na jej progu w ciężkiej zadumie.

Nie ulega wątpliwości, że nie było nic szczególnego w kołatce wiszącej przy furtce tej bramy, chyba to, że była bardzo wielka. Pewne jest również, że Scrooge widywał ją każdego dnia rano i wieczorem, podczas swego długoletniego zamieszkiwania w tym domu. Pewne jest wreszcie, iż tak mało posiadał w sobie tego, co się nazywa fantazją, jak może żaden człowiek w Londynie, nie wyłączając nawet — a to jest śmiałe słowo — członków parlamentu i rady miejskiej. Należy jeszcze mieć na względzie, że Scrooge nie pomyślał o Marleyu ani przez chwilę od czasu, kiedy wspomniął o jego śmierci tegoż właśnie popołudnia. A teraz niechże mi ktokolwiek raczy wyjaśnić, jeżeli zdoła, jak to się stało, że Scrooge, wsunąwszy klucz w zamek drzwi, zobaczył zamiast kołatki twarz Marleya...

Tak, twarz zmarłego Marleya.

Nie była ona otoczona, jak inne przedmioty na ulicy — nieprzeniknioną ciemnością, przeciwnie, otaczało ją słabe światło, które zdawało się z niej promieniować. Nie miała ona ani groźnego, ani przerażającego wyrazu, spoglądała na Scrooge'a tak, jak zwykle spoglądał Marley na niego za życia: podniósłszy okulary na czoło. Włosy były dziwnie zmierzwiłone, jakby gwałtownym wichrem lub silnym strumieniem pary, a oczy, choć szeroko otwarte, były tępe, martwe, co, w połączeniu z szarą barwą skóry, czyniło tę twarz odrażającą. Zdawało się jednak, że przerażenie, jakie budził ten widok, pochodziło nie z samej twarzy, ani też z jej wyrazu, lecz wywoływał je inny jakiś, niezwykle powód.

Gdy Scrooge zaczął uważniej przypatrywać się zjawisku, zniknęło ono i pozostała dobrze mu znana kołatka.

Mijałoby się z prawdą, utrzymując, że Scrooge nie był tym zjawiskiem wstrząśnięty i że nie doznał uczucia przerażenia, które mu było obce od dzieciństwa. Lecz rychło się opanował, odzyskał zimną krew, ujął za klucz, który przed chwilą puścił, obrócił go śmiało, otworzył drzwi, wszedł do sieni i zapalił świecę.

Zatrzymał się chwilę w niepewności, zanim zamknął drzwi i naprzód obejrzał się uważnie poza siebie, jak gdyby obawiał się ujrzeć tył głowy Marleya wystającej z drzwi

do sieni. Lecz na tylnej stronie drzwi nie było nic, prócz śrub i gwoździ utrzymujących kołatkę; mruknął więc coś niezrozumiale i zatrzasnął drzwi.

Trzask rozległ się po domu jak grzmot. Każdy pokój na piętrze i każda beczka w piwnicy zdawały się odpowiadać mu osobnym echem. Scrooge nie był człowiekiem, którego by podobne odgłosy zatrwożyć mogły. Zaryglował więc drzwi i przeszedł spokojnie przez sień; idąc na górę po schodach, posuwał się z wolna, objaśniając świecę.

Może który z czytelników wyobrazi sobie, że były to wspaniałe schody z dawnych czasów, gdzie łatwo by się zmieściła karetą zaprzężona w szóstkę koni. Otóż mogę wam zaręczyć, że schody prowadzące do mieszkania Scrooge'a były jeszcze szersze. Zmieściłby się na nich nawet karawan, oczywiście ustawiony w poprzek, orczykiem do ściany, a tylnymi kołami do poręczy. I nie tylko zmieściłby się, ale zostałoby jeszcze sporo miejsca. To właśnie mogło być powodem, że Scrooge'owi zdawało się istotnie, że widzi przed sobą karawan posuwający się w górę. Pół tuzina ulicznych lamp gazowych nie oświetliłoby dostatecznie tych schodów, można więc przypuszczać, że przy jednej mdłej świeczce, którą Scrooge sobie przyświecał, było dosyć ciemno i ponuro.

Ale Scrooge szedł na górę, nic sobie z tego nie robiąc. Ciemność jest tania, a taniość była słabą stroną Scrooge'a. Znalazłszy się w mieszkaniu, zanim zamknął i zaryglował ciężkie drzwi, przeszedł się po pokojach dla stwierdzenia, czy wszystko jest w porządku. Być może, iż tajemnicze przeistoczenie się kołatki skłoniło go do tej ostrożności.

Bawialnia, jadalnia, sypialnia, schowanko — wszystkie te pomieszczenia znalazł w zupełnym porządku. Nikogo pod stołem, nikogo pod sofą, mały ogień na kominku, na stole talerz i łyżka, mały rondel z kleikiem (Scrooge dostał z przeziębienia kataru) na maszynie kuchennej. Nikogo pod łóżkiem, nikogo w komórce, nikogo w szlafroku, wiszącym na ścianie w podejrzany sposób. W schowanku nic osobliwego. Stare obuwie, dwa kosze na ryby, dwie zdarte szczotki, umywalnia na trzech nogach i pogrzebacz.

Zupełnie uspokojony, Scrooge zamknął drzwi na dwa spusty, co nie było jego zwyczajem i tak ubezpieczywszy się od wszystkich możliwych niespodzianek, zdjął chustkę z szyi, włożył szlafrok, pantofle i szlafmycę, po czym usiadł przed kominkiem, zabierając się do spożycia kleiku.

Szczerze mówiąc, ogień na kominku był istotnie bardzo marny, zgoła niewystarczający na tak mroźną porę. Scrooge musiał przysunąć się bardzo blisko i długo czekać, zanim uczuł nieco ciepła z tak skromnej garstki paliwa.

Kominek był stary, zbudowany dawno temu przez jakiegoś holenderskiego kupca i wyłożony dziwacznymi flamandzkimi kaflami, przedstawiającymi różne sceny z Pisma

Świętego. Był tam Kain i Abel, córki faraona, królowa Saba, anielscy posłańcy zstępujący z nieba po schodach z obłoków do pierzyn podobnych; był Abraham, Baltazar i apostołowie wybierający się na morze w łodziach kształtu sosjerek; były wreszcie setki innych postaci, mogących zająć uwagę Scrooge'a. A jednak twarz Marleya, zmarłego siedem lat temu, zjawiała się przed jego oczyma, zasłaniając sobą wszystko. Gdyby wszystkie owe kafle kominka były zupełnie czyste i gdyby posiadały własność pokrywania swej gładkiej powierzchni obrazami bezładnych myśli Scrooge'a, wówczas na każdym z nich zjawiłaby się podobizna twarzy zmarłego Marleya.

— Głupstwo! — mruknął Scrooge i machnąwszy ręką, zaczął się przechadzać po pokoju.

Po pewnym czasie usiadł znowu.

Oparłszy głowę o poręcz krzesła, spojrział przypadkiem na dzwonek, od dawna nieużywany, łączący pokój, w którym Scrooge teraz siedział, z pokojem na najwyższym piętrze domu, również od dawna opuszczonym. Spojrzawszy — osłupiał, spostrzegł bowiem, że dzwonek zaczyna się poruszać. Z początku poruszał się tak wolno, że zaledwie słychać go było; wkrótce jednak zabrzmiał głośno, a na jego hasło odpowiedziały wszystkie dzwonki w całym domu.

Trwało to wszystko pół minuty, może minutę, ale krótka ta chwila wydała się Scrooge'owi nieskończenie długa. Naraz dzwonki ucichły jednocześnie, jak jednocześnie zabrzmiały. Potem, wśród grobowej ciszy, odezwało się gdzieś w piwnicy przytłumione brzęczenie i łoskot, jak gdyby ktoś włókł ciężkie łańcuchy po beczkach z winem. Wtedy Scrooge przypomniał sobie, że duchy w nawiedzanych przez nie domach zjawiają się zwykle, wlokąc za sobą łańcuchy.

Nagle drzwi piwnicy otworzyły się z głośnym hukiem, a wtedy Scrooge usłyszał głośniejsze brzęczenie; wyszło ono z piwnicy, zaczęło powoli wstępować po schodach, a wreszcie zatrzymało się przy drzwiach jego pokoju.

— Ależ to głupstwo! — mruczał Scrooge. — Nie wierzę, nie mogę wierzyć, żeby to była rzeczywistość.

W tej chwili pobladł z przerażenia, gdy owo coś brzęczącego, nie otwierając drzwi, weszło do pokoju i posuwało się z wolna ku niemu. Zamierający płomień na kominku wyciągnął się, zajaśniał, podskoczył, jakby wołając:

— Poznaję go, to duch Marleya!

Po czym znów wygasł.

Tak, to był on. Ta sama twarz, zupełnie ta sama. I ubrany był zupełnie tak, jak się zwykle ubierał Marley. Ten sam harcap, ta sama kamizelka, te same spodnie i buty; chwosty przy butach dziwnie były najeżone, jak również harcap, poły surduta i włosy na głowie...

Widmo wlokło za sobą długi łańcuch, który obejmował je w pasie i obwijał jeszcze kilkakrotnie; był on utworzony (Scrooge dobrze mu się przypatrzył) z kas metalowych, kluczy i zamków, ksiąg kupieckich, aktów i mocnych, stalowych sakiewek. Cała postać widma była tak przezroczysta, że Scrooge widział poprzez nią dwa guziki na tyle surduta.

Scrooge często słyszał, jak mówiono, że Marley nie miał serca ani wnętrzości, ale nigdy temu dotąd nie wierzył.

I teraz jeszcze nie wierzył, chociaż przeglądał na wskroś zjawisko, chociaż widział je tuż przed sobą, chociaż czuł lodowaty chłód jego martwych oczu, chociaż zainteresował go gatunek płótna chustki, która obwijała twarz widma, czego Marley za życia nie zwykł był czynić. Wciąż jeszcze nie wierzył w to, co widział i usiłował przeczyć swoim zmysłom.

— Co to znaczy? — zapytał wreszcie zwykłym swoim, zimnym, mrukliwym tonem.

— Czego chcesz ode mnie?

— Wiele! Bardzo wiele! — odparło widmo.

Głos był Marleya; nie można było o tym wątpić.

— Kto jesteś?

— Zapytaj raczej: kim byłem — zabrzmiała głucha, przytłumiona odpowiedź.

— Kimże więc byłeś? — zapytał Scrooge, podnosząc głos. — Jak na ducha, jesteś bardzo drobiazgowy.

— Za życia byłem twoim współnikiem, Jakubem Marleyem.

— Czy możesz... czy chcesz usiąść? — zapytał znów Scrooge, spoglądając na widmo z powątpiewaniem, nie wierząc uszom własnym.

— Mogę.

— Uczynić to więc.

Scrooge zapytał o to umyślnie, gdyż nie był pewny, czy istota tak przejrzysta może usiąść na krześle; czuł, że w przeciwnym razie widmo byłoby obowiązane do niezbyt przyjemnych dla niego wyjaśnień. Lecz duch usiadł z przeciwnej strony kominka tak spokojnie i z taką swobodą, jak gdyby to było dla niego rzeczą najzwyklejszą.

— Widocznie nie wierzysz we mnie? — zagadnął duch po chwili.

— Nie wierzę — odpowiedział Scrooge.

— Jakiegoż pragniesz dowodu mego istnienia, oprócz dowodu twoich własnych zmysłów?

— Nie wiem.

— Dlaczego nie ufasz swoim zmysłom?

— Ponieważ często błahostka wyprowadza je z równowagi. Lekka niedyspozycja żołądka czyni z nich oszustów. W rezultacie, możesz być kawałkiem niestrawionej wołowiny, odrobioną musztardy, okruszyną sera, odrobiną niedogotowanego ziemniaka... Pomimo wszystko, wydajesz mi się więcej istotą cielesną niż duchem.

Scrooge nigdy nie miał skłonności do żartów, a w tej chwili więcej jeszcze niż kiedykolwiek był daleki od żartobliwego usposobienia. Jeżeli usiłował być dowcipny i żartobliwy, to dlatego, by rozerwać samego siebie, zmienić kierunek swych myśli i opanować coraz silniej przejmujący go strach, gdyż głos widziadła wstrząsał go do szpiku kości.

Scrooge czuł, że siedzieć tak i patrzeć w martwe, szklane oczy widma nie może. Doznawał bowiem udręczeń piekielnych. Jakoż było istotnie coś piekielnego w atmosferze otaczającej widmo. Scrooge nie czuł jej wprawdzie sam, ale o jej istnieniu wątpić nie mógł, gdyż chociaż duch siedział całkiem nieruchomo, jego włosy, poły surduta i chwosty przy butach wciąż się poruszały, jakby pod wpływem gorącego prądu wydobywającego się z rozpalonego pieca.

— Widzisz tę wykałaczkę? — zapytał Scrooge, wciąż usiłując otrząsnąć się z gnębiącego go coraz silniej przerażenia oraz odwrócić od siebie choćby na chwilę lodowaty wzrok widma.

— Widzę — odparł duch.

— Ale nie patrzysz na nią — podchwycił Scrooge.

— Mimo to widzę ją — rzekł duch.

— Och! — roześmiał się z przymusem Scrooge. — Wystarczy mi połknąć ją, aby przez resztę mych dni, do końca życia, być prześladowanym przez legion złych duchów mojej własnej fabrykacji... Głupstwo, powtarzam! Wierutne, kapitalne głupstwo!

Zaledwie Scrooge wymówił te słowa, duch zajęczał tak przejmująco i zatrząsał łańcuchami w tak ponury i przerażający sposób, że Scrooge przycisnął się do krzesła, aby nie upaść na ziemię ze strachu. Przerażenie jego doszło do najwyższego stopnia, gdy widmo zdjęło bandaże z głowy, jakby mu było za ciepło w pokoju, i gdy dolna jego szczeka opadła aż na piersi.

Scrooge upadł wtedy na kolana i zasłonił twarz dłońmi.

— Litości! — zawołał. — Straszne zjawisko, dlaczego mnie tak dręczysz?!

— Człowieku o przyziemnym umyśle, zaprzątniętym jedynie znikomymi sprawami ziemskimi, wierzysz we mnie teraz czy nie?

— Wierzę! — westchnął Scrooge. — Muszę wierzyć. Powiedz mi jednak, dlaczego duchy włóczą się po świecie? Dlaczego przychodzą mnie męczyć?

— Obowiązkiem każdego człowieka jest — odparło widmo — ażeby jego dusza zjednoczyła się z duszą jego bliźnich i pozostawała w braterskiej z nimi łączności przez cały czas wędrówki ziemskiej. Ten, który obowiązku tego zaniedbał za życia, musi go wypełnić po śmierci. Duch jego po śmierci musi odbywać wędrówkę po świecie (och, biada mi!) i patrzeć biernie na to wszystko, czego nie może już używać, a czego mógł użyć za życia ku swej radości i szczęściu!

To rzekłszy, widmo znów wydało jęk i znów wstrząsnęło łańcuchami, załamując bezcielesne ręce.

— Jesteś w okowach, jak widzę — rzekł Scrooge z drżeniem. — I powiedzże mi: dlaczego?

— Noszę łańcuch, który sobie ukułem za życia — odparł duch. — Sam przygotowałem każde jego ogniwo, każdy łokieć tych kajdan. Włożyłem go na siebie dobrowolnie, dobrowolnie nosiłem, a teraz dźwigać go muszę przez wieczność. Czy nie znasz materiału, z którego utworzone są te okowy?

Scrooge drżał coraz bardziej.

— A może chciałbyś poznać — ciągnął duch — wagę i długość łańcucha, który sam dźwigasz? Co? Siedem lat temu był tak ciężki i tak długi, jak mój. Od tego czasu jednak pracowałeś usilnie, ażeby go doprowadzić do kolosalnych rozmiarów. O tak, twój łańcuch to ogrom potężny!

Scrooge obejrzał skwapliwie swoją osobę, obawiając się, czy nie ujrzy dokoła niej pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu metrów żelaznego powroza; lecz jakoś nic podobnego nie dostrzegł.

— Jakubie Marleyu — odezwał się błagalnie — stary Jakubie Marleyu, mój dobry przyjacielu, powiedz mi wszystko, co wiesz! Pociesz mnie, Jakubie, choć słówkiem!

— Nie mogę — odrzekł duch. — Pociecha przychodzi z innych sfer, Ebenezerze Scrooge, bywa przysyłana przez innych posłańców, innym rodzajom ludzi. Nie mogę ci też powiedzieć wszystkiego, co bym pragnął. Wolno mi wyjawić ci niewiele więcej. Przy tym nie rozporządzam czasem. Nie wolno mi nigdy odpocząć, nie mogę pozostawać w

jednym miejscu, nie mogę zatrzymać się nigdzie. Dusza moja za życia nigdy nie wyszła poza ściany naszego kantoru (uważaj, co mówię!) nigdy nie wyrzała poza ciasny zakres naszych marnych interesów. Wiesz o tym dobrze. Dlatego skazany zostałem po śmierci na nieskończoną, niewymownie dręczącą wędrówkę...

Scrooge, wpadając w zamyślenie, miał zawsze zwyczaj wkładać ręce w kieszenie spodni. I teraz, rozmyślając nad słowami ducha, uczynił to samo, nie odważając się jednak podnieść oczu i nie wstając z klęczek.

— Musiałeś się bardzo opóźnić za życia, Jakubie — zauważył tonem zatroskanego ważnym szczegółem finansisty, lecz z pokorą i szacunkiem.

— Nie inaczej! — potwierdził duch.

— Nieżywy od siedmiu lat — szeptał Scrooge — i przez cały ten czas w podróży!

— Przez cały ten czas — znów potakiwał duch. — Bez wytchnienia, bez odpoczynku, a przy tym ustawiczne wyrzuty sumienia, niewypowiedziane straszne tortury!

— Jak prędko podróżujesz? — badał Scrooge.

— Na skrzydłach wiatru.

— Musiałeś zatem przebyć przez lat siedem olbrzymią przestrzeń — rzekł Scrooge.

Zasłyszawszy to, duch jęknął po raz trzeci i zabrzączał swym łańcuchem w głuchej ciszy nocy tak straszliwie, że stróż nocny miałby słuszny powód aresztować go za zakłócenie spokoju publicznego.

— O, ja nieszczęsny, podwójnie ujarzmiony niewolnik! — wyrzekało widmo. — Nie wiedziałem, iż wieki nieustannej pracy, dokonywanej przez nieśmiertelne istoty dla tej ziemi, muszą zlać się z wiecznością, nim zamierzone dobro zostanie osiągnięte... Nie wiedziałem, że każdy człowiek powinien ofiarować część swej pracy dla wielkiego dzieła ludzkości, współdziałać w doskonaleniu go. Nie wiedziałem, że żaden żal, nawet najgłębszy, nie może być zadośćuczynieniem za źle spędzone życie, nie może okupić jednego nawet ominięcia sposobności spełnienia dobrego uczynku! A ja właśnie tym grzeszyłem! Ja właśnie byłem taki za życia!

— Przecież ty, Jakubie, byłeś zawsze pilnym i dobrym pracownikiem... — bąknął Scrooge, stosując te słowa do siebie — zawsze sumiennie chodziłeś około interesu...

— Interes! — przerwał duch, załamując znów ręce. — I to właśnie było moim błędem, moim grzechem! Ludzkość powinna być moim interesem; dobroczynność, litość, wyrozumiałość i łagodność powinny być moim interesem. To przede wszystkim powinienem był mieć na względzie. Sprawy osobiste, sprawy mego handlu, wszelkiego

rodzaju spekulacje: to wszystko należało uważać za rzecz drugorzędnego znaczenia, za znikomą kroplę w olbrzymim oceanie obowiązku dla dobra ludzkości.

Przy tych słowach, jak gdyby chcąc dosadniej wyrazić bezowocność swej spóźnionej skruchy i swoich wyrzekań, podniósł rękę z łańcuchem, jak mógł najwyżej, i z zamachem opuścił ją po chwili.

— W tej porze roku — podjął znowu — cierpię najbardziej. Dlaczegoż za życia szedłem przez tłumy swych bliźnich z oczyma zwróconymi w dół, wciąż zajęty własnymi tylko, marnymi sprawami, nie podnosząc nigdy wzroku ku niebiosom, gdzie błyszczą teraz ta błogosławiona gwiazda betlejemska, która wiodła Mędrców ze Wschodu do ubogiej stajenki? Czyż nie było dosyć ubogich domostw, do których byłaby mnie zawiodła?!

Scrooge był przerażony, słysząc Marleya przemawiającego w ten sposób.

— Słuchaj mnie — zawołał duch. — Czas mój prawie już upłynął.

— Owszem, słucham cię z uwagą — rzekł Scrooge. — Ale, Jakubie, nie bądź za srogi dla mnie! Nie bądź też, Jakubie, tak kwiecisty w mowie, powiedz krótko i węzłowato, o co ci chodzi?

— Jakim sposobem stoję przed tobą w postaci widocznej, którą możesz rozpoznać, tego nie wolno mi powiedzieć. Wiedz, że zbliżałem się do ciebie niewidzialny często, bardzo często...

Wcale niemiała ta wiadomość sprowadziła na czoło Scrooge'a pot kroplisty.

— Zapewniam cię, że nie jest to lekka część mej kary — ciągnął duch. — Przyszedłem, aby cię ostrzec i zawiadomić, że możesz jeszcze uniknąć mego losu. Sposobność ku temu ja ci nastręcę, Ebenezerze.

— Ty byłeś zawsze moim dobrym przyjacielem — rzekł Scrooge. — Dziękuję ci, Jakubie!

— Odwiedzą cię — mówił dalej Marley — trzy duchy.

Twarz Scrooge'a z przerażenia stała się również blada jak bezcielesne oblicze widma.

— Czy to ma być sposobność i nadzieja, o których wspomniałeś, Jakubie? — zapytał drżącym głosem.

— Tak.

— W takim razie, drogi Jakubie, może lepiej dać temu pokój — rzekł Scrooge. — Zdaje mi się... to jest... wolę skwitować ze wszystkiego.

— Bez tych odwiedzin — kończył duch — nie możesz uniknąć mego nieszczęsnego losu. Bądź gotów na przyjęcie pierwszych odwiedzin jutro, gdy zegar uderzy pierwszą po północy.

— Czy nie mogliby przyjść wszyscy ci goście razem, tak żebym się z nimi mógł prędzej załatwić? — szepnął Scrooge.

— Drugi zjawi się następnej nocy, o tej samej godzinie. Trzeci znów następnej nocy, gdy zegar wybiję dwunastą. Nie spodziewaj się widzieć mnie więcej. Radzę ci, żebyś dla swego własnego dobra zapamiętał to wszystko, coś dzisiaj ode mnie usłyszał.

Wypowiedziawszy te słowa, widmo wzięło swoją chustkę ze stołu i obwijało nią jak poprzecznie twarz swoją. Scrooge domyślił się tego po kłapięciu, jakie wydały zęby, skoro bandaż zbliżył do siebie obie szczęki. Gdy ośmielił się znowu podnieść oczy, ujrzał gościa zza grobu w pozycji stojącej, z nawiniętym na rękach łańcuchem.

Po chwili widmo zaczęło cofać się tyłem, a za każdym jego krokiem okno otwierało się powoli, tak że było już szeroko otwarte, gdy duch znalazł się tuż przy nim.

Wtedy duch dał znak Scrooge'owi, aby się zbliżył, co też on uczynił. Kiedy się znaleźli o dwa kroki od siebie, duch Marleya podniósł rękę, nie pozwalając Scrooge'owi zbliżyć się więcej. Scrooge nagle zatrzymał się.

Uczynił to nie tyle z uległości, ile ze zdumienia i strachu, ponieważ w chwili, gdy duch podniósł rękę, usłyszał jakieś nieokreślone głosy w powietrzu: jakby jęki rozpaczne, jakby skargi niewypowiedziane bolesne, jakby lamenty żalu i skruchy... Duch słuchał czas pewien, potem przyłączył się do żałobnego chóru i wypłynąwszy przez okno, znikł wśród ciemności bezgwiezdnej, mroźnej nocy.

Scrooge, zaciekawiony i przerażony, wyrzwał przez okno.

Powietrze było wypełnione milionami widm, błędzącymi we wszystkich kierunkach z gorączkowym pośpiechem i jęczącymi żałośnie. Wszystkie dźwigały takie same łańcuchy, jak duch Marleya; niektóre (mogły to być występne rządy) były skute razem; ani jedno nie było bez okowów. Wielu Scrooge znał dobrze za ich życia. Poznał, między innymi, dokładnie pewnego starego ducha w białej kamizelce, z olbrzymią żelazną szafą przytwierdzoną do kostek, który skarżył się z rozpaczą, iż nie może pomóc biedniej, siedzącej na progu domu. Widoczne było, że wszystkie te widma cierpiały straszną karę dlatego, ponieważ za życia uchylały się od obowiązku pracy dla dobra ludzkości. Teraz, po śmierci, mimo najgorętszych pragnień, nie mogły naprawić zła.

Czy te istoty rozplynęły się w mgłę, czy też mgła zasłoniła je, Scrooge nie mógł zdać sobie sprawy z tego. Wiedział tylko, że znikły, że głosy ich rozbrzmiewać przestały i że noc stała się taka sama jak wtedy, gdy wracał do domu.

Scrooge zamknął okno i starannie zbadł drzwi, przez które wszedł duch Marleya. Były zamknięte na dwa spusty, jak je zamknął własnymi rękami. Chciał już powiedzieć zwykle swoje: „Głupstwo!” — ale zatrzymał się przy pierwszej sylabie. Uczuł się naraz bardzo znużony. Może to był skutek doznanych wrażeń, może skutek pracy całodzienniej, może skutek wizji spoza grobu i męczącej rozmowy z duchem, może wreszcie skutek późnej godziny — dość, że rzucił się na łóżko w ubraniu i natychmiast zasnął.

II. Pierwszy z trzech duchów

Kiedy Scrooge obudził się, było tak ciemno, że wyglądając z łóżka, mógł zaledwie odróżnić przejrzyste okno od ciemnych ścian pokoju.

W chwili, gdy usiłował przeniknąć ciemność swymi bystrzymi niby u łasicy oczyma, zegar wieżowy sąsiedniego kościoła wybił cztery kwadranse. Słuchał pilnie: która też następnie wybijie godzina?

Ku wielkiemu jego zdziwieniu, ciężki dzwon wybił sześć, siedem, osiem i tak dalej aż do dwunastu. Wtedy zatrzymał się. Dwunasta? To być nie może. Było przecież już po drugiej, gdy poszedł spać. Zegar mylił się. Lód musiał się dostać między jego koła i tryby. Dwunasta!

Przycisnął sprężynę swego repetera w celu skontrolowania ogłupiałego zegara, lecz repeter także wybił dwunastą, a potem zatrzymał się.

— To niepodobna — mrucał Scrooge — żebym przespał dzień i część drugiej nocy. Niepodobna również, żeby słońcu przytrafiło się coś nadzwyczajnego, żeby teraz zamiast południa była północ.

Zaniepokojony, jak mógł najprędzej wygrzebać się z łóżka i zbliżyć się po omacku do okna. Musiał rękawem szlafroka zetrzeć naprzód mróz z szyby, zanim mógł ujrzeć cokolwiek, ale i wtedy zobaczył niewiele. Zauważył tylko, że było bardzo mgliście i nadzwyczaj zimno i że nie było słychać ludzi biegnących w różne strony, sprawiających zwykły gwar i hałas, co działałoby się niezawodnie, gdyby noc pokonała dzień i zapanowała nad światem. Spostrzeżenie to przyniosło mu wielką ulgę. Interesy załatwiają się we dnie, a nie w nocy. Co by się stało z weksłami Scrooge'a, gdyby już nie

było dni, tylko noce? Tak poważna i tak obowiązująca formuła prawna: „Po upływie trzech dni, obowiązuję się zapłacić Ebenezrowi Scrooge'owi lub przekaz mającemu” itp. — stałaby się wówczas utopią, humbugiem amerykańskim.

Scrooge tedy wrócił do łóżka i zaczął rozmyślać o tym wszystkim, co mu się przytrafiło, lecz pomimo wszelkich wysiłków nie mógł zrozumieć nic. Im więcej wyęczał mózg, tym więcej myśli jego się mąciły, a gdy usiłował pozbyć się ich, tym natarczywiej tłoczyły mu się do głowy.

Duch Marleya wzburzył go niesłychanie, ile razy po dojrzałej rozwadze dochodził do wewnętrznego przekonania, że to był po prostu sen, myśl jego znów wracała, jak uwolniona od nacisku sprężyna, do dręczącego przedmiotu, znów stawało przed nim natrętne zagadnienie:

— Czy to był sen czy rzeczywistość?

Scrooge leżał, dręczony niepewnością, dopóki zegar nie wybił trzech kwadransów. Wtedy przypomniał sobie nagle, że według zapowiedzi widma Marleya ma się spodziewać odwiedzin jakiegoś ducha o godzinie pierwszej. Postanowił leżeć, nie śpiąc, dopóki zegar nie wybije tej godziny. Wiedział, że dopóki termin oznaczony nie minie, nie będzie mógł oka zmrużyć. Było to tak pewne, jak to że nie mógłby połknąć Księżyca. Wobec tego osądził, iż nic rozsądniejszego przedsięwziąć niepodobna, tylko czekać.

Pozostałe ćwierć godziny tak mu się dłużyło, iż zdawało mu się, że chyba zdrzemnął się i przespał uderzenie zegara. Lecz niebawem w jego wytężonych uszach rozległo się złowrogie:

— Ding-dong!

— Kwadrans po dwunastej — zaczął rachować Scrooge.

— Ding-dong!

— Pół do pierwszej — szepnął Scrooge.

— Ding-dong!

— Trzy kwadranse na pierwszą — szepnął znów Scrooge.

— Ding-dong!

— Pierwsza! — zawołał Scrooge tryumfalnie. — Pierwsza i nic! Nikt się nie zjawia!

Słowa te wymówił, zanim zegar wybił ten kwadrans ostatni, terminowy; w tej chwili jednak, gdy się rozległo jego głucho, złowieszcze, ponure, groźne uderzenie, cały pokój nagle zajaśniał silnym, jaskrawym blaskiem i kotara łóżka Scrooge'a rozsunała się.

Ściśle mówiąc, kotarę rozsunała jakaś ręka. I to nie część tej zasłony w nogach albo w połowie łóżka, lecz tę mianowicie, na którą Scrooge miał w tej chwili zwrócone oczy.

Gdy się to stało, Scrooge przysiadł na łóżku i znalazł się oko w oko z nadziemskim gościem, który się właśnie zjawił i stanął tuż przy ramieniu Scrooge'a.

Dziwna to była postać. Niby dziecko, a jednak nie tyle podobna do dziecka, ile do starca widzianego przez jakąś dziwną atmosferę, która oddalając go, zmniejszała do rozmiarów dziecka. Włosy, rozwiane i spadające na ramiona i niżej jeszcze, były białe jak włosy starca, gdy twarz, bez śladu nawet zmarszczek, miała cerę świeżą i rumianą, słowem, cerę młodzieńczą. Barki były rozrosłe, ręce długie i muskularne, dłonie tak rozwinięte, że zdawało się, iż posiadają nadzwyczajną siłę. Nogi i stopy, pięknie ukształtowane, były podobnie jak ręce obnażone.

Zjawisko przybrane było w śnieżnej białości tunikę objętą świetnym pasem, połyskującym jakby tysiącem brylantów. W ręce trzymało gałązkę świeżego, zielonego ostrokrzewu, suknię zaś jego, w dziwnej sprzeczności z tym symbolem zimy, zdobiły świeże kwiaty. Lecz najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że z wierzchołka głowy zjawiska wytrysnął jasny promień światła, który rozjaśniał wszystko dokoła. W chwilach smutku Duch ten kładł na głowę zamiast czapki wielki kaptur do gaszenia świec, który teraz trzymał pod pachą.

Dla Scrooge'a jednak, który ze wzrastającym zainteresowaniem przypatrywał się gościowi, nie ów kaptur był największą osobliwością całej postaci. Scrooge'a zdumiewał pas Ducha. Pas ten lśnił skrzył się, połyskiwał i błyszczał raz w jednym miejscu, to znów w drugim, tak że to, co było w danym razie jasne, stawało się za chwilę ciemną plamą i przeciwnie. Cała postać zjawiska odbijała też owe zmiany świetlne, a wskutek tego przedstawiała się co chwila inaczej. To zdawało się mieć jedną tylko nogę, to jedną tylko rękę, to znów parę nóg tylko, to korpus bez głowy, to wreszcie głowę bez korpusu, Zmiany te odbywały się tak szybko, że nie można było dokładnie rozpoznać, gdzie zniknęły części tej postaci. Prawdopodobnie pochłaniała je ciemność nocy.

— Czy ty jesteś tym duchem, którego przyjdzie mi zapowiedziano? — spytał Scrooge.

— Tak, ja nim jestem!

Głos był miły, dźwięczny, lecz tak szczególnie słaby, jak gdyby dochodził z oddalenia.

— Któż ty jesteś? — badał Scrooge.

— Jestem Duchem Wigilijnej Przeszłości.

— Bardzo dawnej przeszłości? — zapytał Scrooge, wpatrując się w karłą postać zjawiska.

— Nie. Duchem twojej Wigilijnej Przeszłości.

Zapewne Scrooge nie byłby w stanie powiedzieć, gdyby go kto o to zapytał, dlaczego zapragnął widzieć Ducha w osobliwej czapce na głowie. Ale faktem jest, że powstało w nim to życzenie, i to w tak natarczywym stopniu, że nie mógł się pohamować i poprosił Ducha o nakrycie głowy.

— Co?! — zawołał Duch. — Chcesz występnyymi swymi rękoma jak najprędzej zagasić dobroczynne światło, które ci przynoszę? Czy mało ci jeszcze, że jesteś jednym z tych, których namiętności złożyły się na utworzenie tej czapki i skazały mnie na noszenie jej przez całe wieki, głęboko naciśniętej na uszy?

Scrooge pokornie wyparł się wszelkiej intencji obrażenia Ducha i zapewnił, że nigdy w życiu świadomie się nie przyczynił do skazania go na taką nieprzyjemność. W końcu odważył się zapytać gościa, co go właściwie sprowadza.

— Twoje dobro! — odparł Duch.

Scrooge wyraził serdeczne podziękowanie, lecz jednocześnie pomyślał, że spokojny, niczym niezamącony sen prowadziłby właściwiej do tego celu.

Duch musiał odgadnąć jego myśli, gdyż odezwał się zaraz:

— Ściślej mówiąc, sprowadza mnie tu pragnienie twojej poprawy. Jeżeli ci się to nie podoba, biada ci!

Rzekłszy to, wyciągnął swą dłoń masywną i dotknął jego ramienia, dodając:

— Wstań i pójdź ze mną!

Scrooge chciał perswadować, że nie jest ubrany, że ma katar, że w takim stanie lepiej jest pozostawać w ciepłym łóżku niż spacerować po nocy, do tego wśród takiego czasu; ale Duch nie pozwolił mu dojść do słowa, wziął go za rękę i pociągnął za sobą. Dotknięcie Ducha, chociaż tak delikatne jak wytwornej damy, nie dopuszczało oporu. Scrooge tedy wstał, lecz widząc, że Duch prowadzi go ku oknu, schwycił go za tunikę, wołając błagalnie:

— O, Duchu łaskawy! Ja przecież jestem zwykłym śmiertelnikiem, więc bardzo łatwo mogę upaść...

— Dotknę cię moją ręką ot tutaj — rzekł Duch, kładąc rękę na sercu Scrooge'a — a dotknięcie to sprawi, że wytrzymasz cięższe jeszcze próby.

Podczas tej uwagi Ducha, przeszli przez ścianę domu i znaleźli się daleko za miastem, na otwartej drodze wiejskiej, z polami po obydwu stronach. Miasto zniknęło zupełnie, nigdzie ani śladu zabudowań. Ciemność i mgła znikły razem z miastem, jaśniał teraz mroźny, lecz pogodny dzień zimowy: Ziemię pokrywał całun śniegu.

— Sprawiedliwe nieba! — zawołał Scrooge, rozglądając się dokoła i uderzając w ręce.
— Przecież to moja wioska rodzinna... Wychowałem się tutaj, bawiłem się z rówieśnikami... Tak, tu spędziłem lata chłopięce...

Duch spoglądał na niego z łagodnym uśmiechem. Lekkie jego, przelotne dotknięcie obudziło uczucia starego Scrooge'a, który teraz chciwie wdychał balsamiczne wonie unoszące się w powietrzu, a każda wskrzeszała w nim tysiące wspomnień, nadziei, radości i trosk — dawno, dawno, zapomnianych...

— Twe usta drżą — odezwał się Duch. — A co tam błyszczysz na twoim policzku?

— Nic! Nic! — wykrztusił wzruszony Scrooge. — Zapewniam cię, że wcale nie czuję obawy. Prowadź mnie, dokąd chcesz!

— Poznajesz tę drogę? — zapytał Duch.

— Czy ją poznaję?! — zawołał Scrooge z zapalem. — Mógłbym iść po niej z zawiązanymi oczami!

— Tym bardziej dziwne, że nie przypomniałeś jej sobie przez tyle lat — zauważył Duch. — Ale idźmy dalej.

Szli więc wzdłuż drogi.

Scrooge poznawał każdy wzgórek, każdą bramę, słup lub drzewo.

Wreszcie w oddali ukazało się małe miasteczko z mostem, kościołem i wijącą się wdzięcznie srebrną wstęgą rzeczki.

Jednocześnie zjawiły się kosmate kuce, biegnące ku nim truchtem, z małymi chłopcami na grzbietach, którzy nawoływali wesoło innych chłopców, jadących w wózkach wiejskich. Wszyscy oni byli w doskonałych humorach i tak raźnie, tak ochoczo pokrzykiwali, że cała przestrzeń wypełniła się wesołą muzyką, a zdawało się, że powietrze wtórzyło jej radośnie.

— To są tylko cienie przeszłości, cienie rzeczy, które kiedyś istniały — rzekł Duch. — Nas te istoty nie przeczuwają nawet.

Rozbawieni mali podróżni zbliżali się, a Scrooge poznawał i nazywał każdego z nich po imieniu.

Byli to jego rówieśnicy, weseli towarzysze lat młodocianych...

Dlaczego widok ich sprawiał mu niewypowiedzianą radość? Dlaczego, gdy go mijali, jego wzrok, zwykle zimny i surowy, płonął teraz jasno, a serce w piersi biło gwałtownie? Dlaczego, gdy ci dziarscy rozbawieni chłopcy rozstawali się na rozdrożach i życzyli sobie wzajem wesołych świąt Bożego Narodzenia, wesołość wypełniła mu duszę?

Czymże były wesołe święta dla Scrooge'a? Precz z wesołymi świętami! Cóż one dobrego przyniosły mu kiedykolwiek?

— Szkoła nie jest jeszcze zupełnie pusta — zauważył Duch. — Znajduje się tam jakieś samotne dziecko, zapomniane i opuszczone przez wszystkich.

Scrooge szepnął, że wie o tym i gorzko zapłakał.

Minęli szeroką szosę i dobrze znaną Scrooge'owi drożyną zbliżyli się do wielkiego gmachu zbudowanego z czerwonej cegły, na którym trzymała się jeszcze wieżyczka z dzwonem.

Był to niegdyś wspaniały dom, ale smutne spotkały go losy i teraz przedstawiał wymowne świadectwo znikomości rzeczy doczesnych. Ściany jego zewnętrzne wilgoć przeżarła i mchy pokryły, okna były pobite, bramy i drzwi popróchniałe. Drób gdał i gospodarował po stajniach, a spichrze, wozownie i szopy porosły chwastem.

Wnętrze niczym nie przypominało dawnej świetności. Znalazłszy się w ciemnym, ponurym, pełnym śmiecia i błota korytarzu, przez otwarte drzwi ogarniało się wzrokiem cały szereg pokojów pustych i zimnych. Powietrze było przesycane wilgocią, z każdego kąta wyzierało opuszczenie. Zewsząd wiał chłód, mrozący duszę i wskazujący wielki niedostatek.

Duch i Scrooge szli przez sień do drzwi umieszczonych w tyle domu. Drzwi same otworzyły się przed nimi, odsłaniając drugą, pustą i posępną izbę zastawioną ławami z gładkich desek i pulpitemi. Przy jednym z pulpitów samotny chłopiec czytał coś przy słabo tlejącym ogarku.

Scrooge zakrył twarz dłońmi i zapłakał: poznał w tym upuszczonym chłopcu samego siebie...

Najmniejsze echo w tej pustce, pisk i bieganie myszy za obiciem ścian, krople spadające z na wpół odmarzniętej rynny gdzieś w tylnej części podwórza, słaby szmer bezlistnych gałęzi smutnej topoli, skrzypienie drzwi pustego spichrza, wiszących na naderwanym zawiasie, pryskanie dogasającego na kominku ognia — wszystkie te szmery i odgłosy spadały niby balsam kojący na duszę Scrooge'a, przynosząc mu ulgę i wyciskając coraz obfitsze strumienie łez.

Duch dotknął jego ramienia, wskazując mu jego dawne „ja” pogrążone w czytaniu.

Wtem jakiś człowiek w dziwacznym stroju, z siekierą zatknietą za pas zjawił się przed oknem, prowadząc za sobą osła obładowanego drzewem.

— Ależ to Ali Baba! — zawołał uradowany Scrooge. — To stary, dobry, drogi, pocziwy Ali Baba! Poznaje go doskonale! Pewnego wieczora wigilijnego (dawno,

bardzo dawno temu!) gdy to opuszczone dziecko zostało zupełnie samo, on przyszedł do niego po raz pierwszy właśnie w takim ubiorze jak teraz. Biedny chłopiec!

— A to Walentyn! — ciągnął dalej Scrooge. — I jego dziki brat, Orson; idą tu obaj! A ten, jakże się on nazywa... no ten, którego położono śpiącego u bram Damaszkę? Czy go nie widzisz? O, koniuszy sułtana, postawiony przez wróżkę na głowie nogami do góry... Ha... ha... wciąż stoi na głowie! Dobrze mu tak! Bardzo mnie to cieszy! Jakim prawem chciał się żenić z córką sułtana?

— A tam papuga! — prowadził swoje wspomnienia Scrooge. — Zielona, z żółtym ogonem, z czubem wyrastającym z głowy, podobnym do liści sałaty! Otóż jest. Znalazł ją Robinson Crusoe, gdy wrócił do domu po opłynięciu swej wyspy. Nauczył ją wołać: „Biedny Robinsonie Crusoe!”. Raz, gdy papuga do niego tak przemówiła, sądził, że śni; ale nie śnił. To istotnie mówiła papuga... A tam zaś Piętaszek pędzi do zatoki, uciekając przed ludożercami... Śmiało! Prędkiej! Nie trać odwagi! Robinson cię ocali...

Przechodząc od jednego wspomnienia do drugiego, z żywością, której by nikt w nim nie przypuszczał, Scrooge nagle znów uniósł się litością nad swym dawnym „ja”.

— Biedny, biedny chłopiec! — szepnął i znów zapłakał.

— Pragnąłbym — mruknął po chwili, otarłszy łzy rękawem szlafroka, wkładając rękę do kieszeni i oglądając się dokoła — pragnąłbym bardzo... ale teraz pewnie już za późno!

— O co ci chodzi? — zapytał Duch.

— Nic — odparł Scrooge — ot, drobnostka. Przypomniałem sobie jakiegoś wyrostka, który wczoraj wieczorem śpiewał pieśń świąteczną przed drzwiami mego kantoru... Żałuję, że nic mu nie dałem. Oto wszystko.

Duch uśmiechnął się, skinął ręką i rzekł:

— Teraz zobaczmy inną wigilię.

Dawne „ja” Scrooge'a znacznie urosło w tej chwili, a izba szkolna stała się jeszcze ciemniejsza i brudniejsza. W ścianach ukazały się szczeliny, okna się pokrzywiły, tynk poodpadał kawałkami z sufitu, odkrywając nagie deski...

Jakim sposobem wszystkie te zmiany mogły odbywać się tak szybko? Scrooge tak samo nie wiedział, jak nie wie czytelnik. Wiedział tylko, że wszystko to stało się istotnie — że gdy inni chłopcy udali się na wesołe święta do domów rodzinnych, on pozostał w szkole sam jeden, zapomniany i opuszczony.

Teraz jednak nie czytał, natomiast chodził po izbie szkolnej wzdłuż i wszerz, pełen rozpacz.

Scrooge spojrział na Ducha, potrząsnął żałośnie głową, po czym skierował wzrok niespokojny i wyczekujący ku drzwiom.

Drzwi otworzyły się i mała dziewczynka, młodsza znacznie od chłopca, wpadła do szkoły, rzuciła mu się na szyję i całując go, wołała:

— Mój drogi, dobry braciszku!

Wycalowałszy go zaś i wyściskawszy, mówiła szybko, klaszcząc drobnymi, wychudłymi rączkami i śmiejąc się z wielkiego rozradowania:

— Przybyłam, mój kochany, ażeby cię zabrać do domu! Tak! Tak! Ażeby cię zabrać do domu, do domu, do domu!

— Do domu, moja mała Fanny? — powtórzył chłopiec.

— Nie inaczej! — potakiwała dziewczynka rozpromieniona. — Do domu na dobre. Do domu na zawsze. Ojciec jest teraz o wiele lepszy, niż był dawniej, dom nasz jest teraz miły jak raj! Pewnego wieczoru przemawiał do mnie tak łagodnie, że ośmieliłam się go zapytać jeszcze raz, czy byś mógł wrócić do domu. Odpowiedział, że możesz. I dziś wysłał mnie powozem pocztowym, żebym ciebie, braciszku, przywiozła. Ty już niedługo będziesz prawdziwym mężczyzną — dodała z dumą, szeroko otwierając swoje duże oczy — i nigdy już tutaj nie wrócisz; ale przede wszystkim spędzimy razem święta Bożego Narodzenia, będziemy doskonale się bawili. Ach! Co to będzie za rozkosz!

— Jesteś już prawie kobietą, moja mała siostrzyczko! — zawołał chłopiec.

Ona zaś radośnie klasnęła w ręce i śmiejąc się, usiłowała dosięgnąć jego głowy; widząc jednak, że jest za mała, wybuchnęła znów śmiechem i podniosła się na palcach, aby go znów ucałować. Wreszcie zaczęła go ciągnąć w swej dziecinniej gorliwości ku drzwiom, a on szedł za nią ulegle, nie mając nic przeciwko opuszczeniu tej ponurej izby.

Naraz w sieni rozległ się straszny głos:

— Znieść na dół rzeczy pana Scrooge'a! Żywo!

Jednocześnie prawie w drzwiach izby szkolnej ukazał się sam nauczyciel.

Spoglądał on ma chłopca przez chwilę z dziką uprzejmością, po czym ująwszy jego rękę, uściśnął ją tak gwałtownie, że chłopiec zmieszał się wielce i omal przytomności nie stracił. Następnie zaprowadził dzieci do niskiego, wyziębionego, odrapanego pokoju, w którym mapy na ścianach, jak również niebieskie i ziemskie globy w oknach, pookrywał szron. Tutaj wyjął karafkę przedziwnie lekkiego wina oraz kawał przedziwnie ciężkiego ciasta i traktował swych młodych gości tymi przysmakami; równocześnie wysłał chudego służącego, aby ofiarował szklankę „czegoś” chłopcu pocztowemu. Ten jednak odrzekł, że chociaż jest bardzo wdzięczny za poczęstunek,

jednak, jeśli to ma być ten sam napój, którego już kosztował poprzednio — w takim razie woli raczej nie pić. Ponieważ zaś kufer pana Scrooge'a został tymczasem przymocowany już na wierzchu dyliżansu, dzieci pożegnały nauczyciela uprzejmie i wsiadłszy do pojazdu, odjechały drogą ogrodową, na której pod szybko obracającymi się kołami rozpryskiwał się szron i śnieg w drobne krople.

— Była ona zawsze wątła i delikatna — zauważył Duch — tak, że zdawało się, iż lada wietrzyk ją zmiecie, ale miała wielkie serce!

— To prawda — potwierdził Scrooge. — Masz słuszość. Nie będę temu przeczył, Duchu. Boże broń, żebym miał temu przeczyć!

— Umarła zamężna i zostawiła, o ile mi się zdaje, dzieci — rzekł Duch.

— Jedno dziecko — poprawił Scrooge.

— Prawda — przyzwał Duch — a tym dzieckiem jest twój siostrzeniec.

Scrooge zmieszał się, poruszył niespokojnie i szepnął jakby ze skrucą:

— Tak!

Chociaż zaledwie przed chwilą opuścili gmach szkolny, mimo to znajdowali się już na ruchliwych ulicach Londynu, gdzie przechadzały się różne duchy, gdzie cienie wozów i powozów walczyły o miejsca dla siebie wśród zamieszania i zgiełku wielkiego miasta. Po ożywionym ruchu w sklepach można było poznać, że był to również dzień wigilijny. Wieczór już zapadł, latarnie oświecały ulice.

Duch zatrzymał się przed jakimś składem i zapytał Scrooge'a, czy go poznaje.

— Czy go poznaję? — zawołał Scrooge. — Przecież praktykowałem tutaj!

Weszli.

Przy wysokim biurku, siedział stary człowiek w walijskiej peruce. Na jego widok Scrooge zawołał z uniesieniem:

— Ależ to Fezziwig! Daj mu Boże zdrowie. Wszakże to żywiuteńki Fezziwig!

Wtedy właśnie stary Fezziwig położył pióro, spojrzał na zegar ścienny, który wskazywał siódmą godzinę, zatarł ręce, poprawił swą obszerną kamizelkę, roześmiał się głośno, oglądając się od pięt do pasa, potem klasnął w dłonie i zawołał dźwięcznym, jowialnym, wesołym głosem:

— Hej tam! Ebenezer! Dick!

Dawne „ja” Scrooge'a, teraz już w postaci młodzieńca, weszło żywo w towarzystwie swego kolegi.

— Z pewnością Dick Wilkins! — zawołał Scrooge do Ducha. — Przysięgam, że to on! Dick był bardzo do mnie przywiązany. Biedny Dick! Biedny!

— Hej tam, chłopcy! — rzekł Fezziwig. — Zaprzestać już pracy, na dziś dosyć. Przecież to wieczór wigilijny, Dick! To wigilia, Ebenezer! Zamknąć okiennice.

Trudno sobie wyobrazić, z jakim zapalem zabrali się chłopcy do roboty. Wybiegli na ulicę z okiennicami — raz, dwa, trzy — już je włożyli — cztery, pięć, sześć — zamknęli i zaryglowali — siedem, osiem, dziewięć — zanim mogłeś doliczyć do dwunastu, już wrócili, dysząc jak konie wyścigowe.

— Brawo! Doskonale! — zawołał stary Fezziwig, zeskakując z wysokiego stołka z podziwu godną zwinnością. — Pouprzątać, chłopcy, z pokoju rzeczy zbyteczne, żebyśmy mieli sporo miejsca! Hej-ho, Dick! Hej-ho, Ebenezer!

Pouprzątać! Nie było takiej rzeczy, której nie byliby uprzątnęli albo nie mogli uprzątnąć, gdy stary Fezziwig patrzył na nich.

Toteż załatwili się w minutę. Każda rzecz ruchoma została gdzieś usunięta, jakby miała zniknąć z życia publicznego raz na zawsze; podłogę skropiono i zamieciono, lampy opatrzone, nałożono świeżego paliwa do kominka; lokal sklepowy przedstawiał w końcu tak miłą, zaciszną, ciepłą, jasną i suchą salę balową, jak sobie tylko można marzyć w noc zimową.

Zjawił się skrzypek z nutami pod pachą, podszedł do wysokiego biurka, zamieniając je na pulpit, i zaczął stroić swój instrument, który jęczał i skrzypiał przy tej operacji jak pół setki rozstrojonych żołądków. Weszła pani Fezziwig, dobrze odżywiona, wiecznie uśmiechnięta dama, uosobienie dobroci i wyrozumiałości. Weszły trzy panny Fezziwig, promieniejące i rozkoszne. Za nimi weszło sześciu młodych adoratorów z pogruchotanymi sercami. Weszli wszyscy młodzi mężczyźni i młode kobiety zatrudnione w tym domu. Weszła także służąca ze swym kuzynem, piekarzem. Weszła kucharka z przyjacielem swego brata, rozwozicielem mleka. Zjawił się maleńki podmajstrzy z naprzeciwwka, którego podejrzewano o to, że go pracodawca głodzi; chował się on za służącą z sąsiedniego domu, którą jego pryncypałowa — co było powszechnie dowiedzione — za coś szczególnie prześladowała. Wszyscy wchodzili porządnie, bez tłoczenia się; jedni nieśmiało, inni zuchwale, jedni z wdziękiem, drudzy niezgrabnie, jedni szybko, inni z wolna, aż wreszcie wszyscy znaleźli się w pokoju. A to przecież było najważniejsze.

Niebawem rozpoczęły się ochocze tańce. Najprzód tańczyli wszyscy razem, par ze dwadzieścia, trzymając się za ręce i tworząc wielkie koło. Połowa wysuwała się naprzód, to znów cofała się w tył. Potem jedni balansowali do taktu, a drudzy pociągali tamtych naprzód. Po czym znów wszyscy się kręcili, to grupami, to tworząc długiego węża. Stare

pary wciąż się myliły, wciąż sprawiały zamieszanie, a młode, bardzo z tego zadowolone, przesuwały się z błyskawiczną szybkością z jednego końca sali na drugi. Wreszcie wszyscy się zmieszali, skotłowali, wytworzył się istny chaos, nikt nie wiedział, co robić.

Korzystając z tego świetnego rezultatu zapалу, stary Fezziwig wstrzymał tańczących kłaśnięciem w dłonie i zawołał:

— Brawo! Doskonale!

Wówczas skrzypek zanurzył swą twarz w kuflu porteru, umyślnie na ten cel przygotowanym. Lecz nie dopijając resztki, ukazał twarz znowu i natychmiast rozpoczął ponownie rzępolić, z większą jeszcze fantazją, choć nie było jeszcze tancerzy.

Gdy nahasano się już do woli, rozpoczęła się gra w fanty, potem nastąpiły znowu tańce, potem rozdawano ciasta i lemoniadę, pieczyste na zimno, znowu ciasta i mnóstwo piwa.

Lecz główny punkt programu nastąpił po piecystym, gdy skrzypek (podstępny był to hultaj; znał on lepiej swoje rzemiosło, niż można było sądzić z pozoru!) zagrał Sir Roger de Coverley. Wtedy stary Fezziwig stanął z panią Fezziwig na czele wszystkich tancerzy.

Ta pierwsza para miała do spełnienia nie lada zadanie, bo za nią sunęło dwadzieścia trzy lub cztery pary i to utworzone z ludzi, z którymi nie można było żartować, bo choć nie mieli dobrego pojęcia o chodzeniu, pragnęli jednak koniecznie tańczyć.

Ale gdyby ich było dwa razy tyle — ba, cztery razy — stary Fezziwig byłby dał im radę i pani Fezziwig także. To nie ulega wątpliwości.

Co do pani Fezziwig, była ona godną towarzyszką swego małżonka w całym tego słowa znaczeniu. Jeżeli to zaś nie jest dość wysoką pochwałą, dajcie mi inną, a użyję jej z pewnością.

Z łydek pana Fezziwiga literalnie sypały się iskry. Przy każdym jego ruchu błyszcząły jak dwa księżyce. Nie można było odgadnąć w danej chwili, co się z nimi stanie w następnej. A gdy stary Fezziwig i pani Fezziwig przeszli przez wszystkie fazy tańca, gdy wykonali wszystkie figury: naprzód, w tył, krzyże, balanse, koszyki itp., pan Fezziwig zdobył się na tak śmiały skok, że nogi zaplątały mu się w powietrzu i zdawało się, że je połamie; na szczęście obeszło się bez katastrofy.

Zabawa skończyła się z chwilą, gdy zegar uderzył jedenastą. Pan i pani Fezziwig zajęli swoje stanowiska po obydwu stronach drzwi i ściskając za ręce każdego wychodzącego gościa, życzyli mu uprzejmie wesołych świąt. Gdy już wszyscy wyszli, z wyjątkiem dwóch praktykantów, spotkała ich ta sama grzeczność; potem wesołe głosy

umilkły, chłopcy zaś pozostali, aby położyć się spać w łóżka, które znajdowały się pod stołami na zapleczu; położywszy się, długo jeszcze gawędzili, ożywieni i rozradowani.

Scrooge, patrząc na wskrzeszone chwile przeszłości, tak był wzburzony, że zdawało się, iż zmysły postradał. Jego serce i dusza uczestniczyły żywo w tej zabawie, razem z jego dawną postacią. Potwierdzał wszystko, pamiętał wszystko, cieszył się wszystkim, doznawał niewypowiedzianych wzruszeń. Dopiero gdy rozjaśnione twarze jego dawnego „ja” i Dicka odwróciły się ku ścianie, przypomniał sobie Ducha i zauważył, że patrzy on na niego badawczo, a światło na jego głowie jaśnieje coraz silniejszym blaskiem.

— Niewiele potrzeba — odezwał się Duch — dla zjednania sobie wdzięczności takich prostaczków.

— Niewiele! — powtórzył jak echo Scrooge.

Duch dał mu znak, aby przysłuchiwał się rozmowie dwóch praktykantów, którzy wychwalali z zapalem Fezziwiga, po czym rzekł:

— Czy nie mam słuszości? Ów Fezziwig wydał zaledwie trzy czy cztery funty szterlingi; to przecież nie powód, żeby go wychwalać pod niebiosy. Jakaż tu zasługa?

— Ależ to nie o to chodzi — zaoponował Scrooge, podniecony wspomnieniem, a potem mówił dalej, sam nie wiedząc, że wypowiada przekonania dawnego Scrooge'a. — To nie o to chodzi, Duchu. On ma możność uczynienia nas szczęśliwymi lub nieszczęśliwymi, uczynienia życia naszego lżejszym lub cięższym, a pracy naszej przyjemną lub przykrą. Cóż z tego, że ta jego władza przejawia się tylko w dobrym słowie, pocziwym spojrzeniu, w drobiazgach tak nieuchwytnych, że ich mierzyć, ważyć ani analizować niepodobna? To nic nie znaczy, gdyż nie w tym spoczywa jądro rzeczy. Szczęście, jakie on rozlata dokoła siebie, jest tak wielkie, a dla nas tak drogie, że się niczym opłacić nie da.

Spotkawszy przenikliwy wzrok Ducha, zamilkł.

— Cóż się z tobą dzieje? — zapytał Duch.

— Nic szczególnego — odrzekł Scrooge.

— A jednak coś się dzieje? — powtórzył Duch.

— Ależ nic, nic... Chciałbym tylko powiedzieć w tej chwili słów kilka memu pomocnikowi. Oto wszystko.

Gdy wygłosił to życzenie, jego dawna postać przykręciła lampę i wraz z Duchem znaleźli się znów na ulicy.

— Czas mój uchodzi — zauważył Duch. — Śpieszmy się!

Słowa te nie były skierowane do Scrooge'a ani też do jakiegokolwiek istoty widzialnej, mimo to wywołały niezwykley skutek, gdyż Scrooge znowu ujrzał samego siebie. Był już starszy, w sile wieku. Twarz jego nie miała jeszcze surowych i ostrych linii lat późniejszych, lecz w rysach jej już się przejawiały pierwsze ślady skąpstwa i jakiegoś niepokoju. W oczach już migotał wyraz drapieżnej chciwości, zdradzały one namiętność wzbogacenia się, która zaczynała rozrastać się w jego duszy. Nie ulegało też wątpliwości, w jakim kierunku potoczy się jego życie.

Nie był sam. Obok siedziała młoda i piękna dziewczeczka w żałobie, z oczyma pełnymi łez, które błyszczały jak brylanty w świetle wytryskającym z głowy Ducha Wigilijnej Przeszłości.

— Zapewne, że to rzecz obojętna — mówiła dziewczeczka głosem zgnębionym. — Zwłaszcza obojętna dla pana, gdyż inne bóstwo zajęło w sercu pańskim moje miejsce. Jeżeli ono jednak zdoła dostarczyć ci w przyszłości słodyczy, ukojenia, pociechy i radości, słowem tego, czym ja pragnęłabym cię otoczyć, to istotnie nie mam powodu do troski.

— Jakież to bóstwo cię zastąpiło? — zapytał dawny Scrooge.

— Cielec złoty.

— Oto sprawiedliwość ludzka! — zawołał dawny Scrooge. — Przeklinają ubóstwo, a jednocześnie potępiają tych, którzy w pocie czoła starają się o dostatek.

— Przesądzasz pan sprawiedliwość świata — zauważyła dziewczeczka. — Pan wszystkie swoje myśli i pragnienia zwróciłeś do jednego celu: do wzbogacenia się. Widziałam dobrze, jak wszystkie twoje szlachetne uczucia gasły jedno po drugim, tłumione tą namiętnością, która ostatecznie zwyciężyła. Czy nieprawda?

— I cóż z tego? — zapytał. — Jeżeli stałem się praktyczniejszy i rozsądniejszy, to nie znaczy, żebym się zmienił względem ciebie.

Potrząsnęła główką.

— Czy zmieniłem się?

— Pomiedzy nami istnieje umowa, którą zawarliśmy wówczas, kiedy oboje byliśmy biedni. Wówczas nie uskarżaliśmy się na los, lecz pracowaliśmy pełni nadziei, że przyjdą i dla nas lepsze czasy, że praca zapewni nam byt, choć skromny. Od tego czasu zmieniłeś się. Gdyśmy zawierali umowę, byłeś innym człowiekiem.

— Byłem wtedy prawie dzieckiem — przerwał niecierpliwie.

— Własne twoje sumienie mówi ci, że byłeś zupełnie inny — odparła. — Co do mnie, wcale się nie zmieniłam. To, co nam obiecywało szczęście, gdyśmy jednako czuli i

myśleli, teraz jest dla nas źródłem cierpienia i męki. Jak często i z jaką boleścią o tym myślałam, nie jestem w stanie wypowiedzieć. Dość, że mogłam o tym myśleć. Teraz: zwracam ci słowo.

— Czy kiedykolwiek żądałem tego?

— Słowami nie. Nigdy.

— W jaki tedy sposób?

— Zmianą usposobienia, widocznym przygnębieniem i niepokojem. Zmieniłeś się zupełnie we wszystkim, zmieniłeś treść swego życia i cel jego. Gdybyś dawniej nie dał mi słowa, powiedz szczerze: czy teraz zechciałbyś mnie pojąć za żonę? Z pewnością nie!

Zdawał się uznawać słuszność jej przypuszczania, mimo to odparł:

— Sama nie wierzysz w to, co mówisz.

— Jakże byłabym szczęśliwa, gdybym mogła myśleć inaczej! — szepnęła smutnie. — Bóg świadkiem, że byłabym bardzo szczęśliwa. Jedynie niezwalczona siła mogła mnie przyprowadzić do tak bolesnych wniosków. Gdybyś był wolny w tej chwili, czy wybrałbyś sobie za żonę biedną dziewczynę, ty, który w chwilach najgorętszych uniesień nie przestajesz ważyć wszystko na szalach zysku i patrzeć na wszystko ze stanowiska żądzy wzbogacania się? Gdybyś się nawet zapomniał na chwilę, gdybyś się ze mną połączył do zgonnie, to czyż mogłabym wątpić, że wkrótce żałowałbyś tego kroku? Jestem głęboko przekonana, że przysłoby do tego niebawem, i to jest powodem, że zwracam ci dane słowo. Czynię to szczerze, w imię miłości, jaką żywiłam dla ciebie wtedy, kiedy byłeś inny.

Chciał coś powiedzieć, lecz ona, odwróciwszy się od niego, ciągnęła dalej:

— Być może... a nawet jestem przekonana, że zerwanie zaboli cię. Lecz niedługo, bardzo niedługo będziesz cierpieć. Potrafisz usunąć wszelkie wspomnienia o naszej miłości jak niemiły sen i z radością uczujesz się wolny. Obyś był szczęśliwy w życiu, jakie sobie obrałeś!...

W ten sposób się rozstali.

— Dosyć już, Duchu! — zawołał Scrooge. — Zaprowadź mnie do domu. Nie jestem w stanie dłużej znosić podobnych udręczeń!

— Jeszcze jeden cień! — odparł Duch.

— Nie, nie, dosyć! — błagał Scrooge. — Nie chcę nic więcej widzieć! To nad moje siły!...

Lecz nieubłagany Duch pochwycił go mocno w ramiona i kazał mu patrzeć na następny obraz.

Znajdowali się teraz w pokoju niezbyt wielkim, lecz urządzonym zacisznie i wygodnie. Przy kominku, na którym płonął jasny i wesoły ogień, siedziała dziewczeczka tak podobna do poprzedniej, iż Scrooge myślał, że to ta sama, dopóki nie zauważył, że jest już teraz poważną mężatką i że obok siedzi jej córka.

W pokoju było gwarno, a nawet panował tam ogromny hałas, sprawiany przez gromadkę dzieci, których Scrooge w pierwszej chwili, będąc silnie wzburzony, nie zauważył. Dzieci owe wcale nie zachowywały się tak, jak owych czterdzieścioro maleństw w poemacie, co siedziały niby trusiątka, spokojnie i cicho. Ta dzieciarnia zachowywała się całkiem inaczej: każdy z malców swawolił i krzyczał za czterdziestu. Dlatego panowała tu taka olbrzymia wrzawa, która jednak nikogo nie raziła. Owszem, matka i córka śmiały się serdecznie i cieszyły się tym bardzo. Córka, wmieszawszy się do zabawy, została przez małych swawolników napadnięta ze wszystkich stron...

Czego bym nie dał, żeby być jednym z nich! Lecz, oczywiście, nie okazałbym się tak okrutny jak oni, wierzajcie! Za wszystkie skarby świata nie ośmieliłbym się potargać gładko uczesanych włosów pięknej siostrzyczki ani też zerwać z jej stopy miniaturowego pantofelka... Nie ośmieliłbym się również, za nic na świecie, objąć wiotkiej i kształtnej jej kibici, jak to te małe nicponie czyniły podczas zabawy, bez wszelkiej ceremonii, gdyż obawiałbym się, żeby moja ręka za podobną zbrodnię nie pozostała już na zawsze zgięta.

A jednak, wyznaję szczerze, pragnąłbym dotknąć jej ust; pragnąłbym ją zapytać o coś, wprost dlatego, żeby ją skłonić do ich otworzenia; pragnąłbym patrzeć na jej spuszczone skromnie oczy, lecz tak, żeby nie wywołać rumieńca; pragnąłbym rozpleść jej wonne włosy, których najmniejszy loczek przechowałbym jako drogą pamiątkę; słowem, pragnąłbym wobec niej posiadać wszelkie przywileje dziecka i jednocześnie pozostać dojrzałym mężczyzną, aby móc należycie ocenić jej urok.

Po chwili rozległo się pukanie i dzieciarnia rzuciła się natychmiast ku drzwiom tak gwałtownie, z takim wrzaskiem, że piękna siostrzyczka, uśmiechnięta i z suknią w nieładzie, została porwana przez rozigraną gromadkę i pociągnięta na powitalnie ojca, wchodzącego z posłańcem obładowanym gwiazdkowymi podarkami.

Teraz wśród krzyku i wrzawy nastąpił atak na bezbronного posłańca. Dzieci wdrapywały się na niego po krzesłach jak po drabinach, aby zanurzyć ręce w jego kieszeni, pozbawić go paczek, chwytać za pas, wieszać mu się na szyi, siadać na barkach i kopać go po nogach — a wszystko to czyniły z radości, której oprzeć się nie były zdolne.

Z jakim podziwem i uciechą witano zawartość każdej, choćby najmniejszej paczki! Ile było radości, wdzięczności i zachwytu! Jakąż rozpacz wywołało przypuszczenie, że jedno z dzieci, wzięwszy do ust maleńką brytfannę z kuchni dla lalek, połknęło znajdującego się w niej indyka z cukru... Jakąż następnie ulgę uczuli wszyscy, gdy okazało się, że to był fałszywy alarm... To wszystko nie da się opisać...

Nadeszła wreszcie godzina spoczynku. Dzieci, uspokojone już nieco, ochłonęły z pierwszego wyrażenia, udały się z otrzymanymi zabawkami do swego pokoju na piętrze, gdzie ułożono je w łódeczkach. Wtedy dopiero w domu zapanował spokój.

Gdy teraz Scrooge ujrzał, jak ojciec tej rodziny przytulił serdecznie do siebie młodą żonę i wraz z nią oraz z córką najstarszą zasiadł przy kominku; gdy pomyślał sobie, że on również mógł być ojcem takich milutkich i pełnych nadziei istot i że w początej zimie jego życia mogła od czasu do czasu zakwitnąć radosna i jasna wiosna — twarz jego spochmurniała jeszcze bardziej, a w oczach ukazały się łzy.

— Bello — odezwał się w tej chwili mąż, zwracając się do małżonki z łagodnym uśmiechem — widziałem dziś po południu twego dawnego przyjaciela.

— Kogóż to?

— Zgadnij.

— Nie wiem doprawdy, o kim myślisz.

— Szczura!

— Cóż znowu! Ach, teraz już wiem — podchwyciła, śmiejąc się równie szczerze jak mąż. — Pana Scrooge'a?

— Tak, pana Scrooge'a. Przechodziłem koło okna jego kantoru, a ponieważ nie było zasłonięte i wewnątrz świeciło się, przeto mimo woli go ujrzałem. Mówią, że wspólnik jego umiera, więc siedzi tam teraz samotny. A sądzę, że jest on całkiem samotny, to jest, chcę powiedzieć, że nie ma na całym świecie żadnej bliskiej, życzliwej istoty.

— Duchu — szepnął Scrooge drżącym głosem — uprowadź mnie stąd...

— Uprzedziłem cię przecież, że ci pokażę cienie twego dawnego życia — odparł Duch — nie wiń mnie, lecz samego siebie, że są one takie, jakimi je widzisz, a nie inne.

— Uprowadź mnie stąd! — wołał Scrooge. — Nie mogę znieść tego widowiska!

Zwrócił się ku Duchowi, a zauważywszy, że na obliczu jego w niepojęty sposób odbiły się poszczególne rysy wszystkich tych twarzy, które niedawno widział — rzucił się na niego z krzykiem rozpaczliwym:

— Opuść mnie! Uprowadź mnie stąd! Nie dręcz mnie dłużej!

Podczas walki z Duchem — jeżeli to w ogóle można było nazwać walką, bo Duch, nie broniąc się wcale, zdawał się nie odczuwać wysiłków napastnika — spostrzegł Scrooge, że nad głową Ducha unosi się teraz jeszcze jaśniejszy i wyższy niż przedtem wytrysk światła; w tym mniemaniu, że owo światło daje Duchowi nad nim przewagę, chwycił gasidło i wtłoczył je na głowę Ducha.

Duch tak się skurczył, że gasidło okryło całą jego postać; ale chociaż Scrooge przyciskał gasidło z całej siły, nie mógł jednak stłumić światła, które wydobywało się spod spodu i dziwnie jasno oświecało wszystko dokoła.

Nagle Scrooge uczuł, że siły jego wyczerpują się i że owłada nim niepokonana senność. Po chwili spostrzegł, że znajduje się w swojej sypialni. Na pożegnanie tedy raz jeszcze nacisnął gasidło, po czym zaledwie dowlókł się do łóżka i rzucił się na nie, natychmiast zasnął twardo.

III. Drugi z zapowiedzianych duchów

Scrooge obudził się wśród głośnego chrapania i natychmiast usiadł na łóżku, aby pozbierać myśli.

Tym razem nikt nie potrzebował mówić mu, że jest właśnie godzina pierwsza. Czuł, że obudził się o właściwej porze i w tym wyraźnym celu, aby odbyć konferencję z drugim gościem, przysłanym mu przez Jakuba Marleya. Na myśl jednak, że któraś z kotar jego łóżka mogłaby zostać odsunięta przez nowe widmo, niemiły dreszcz przebiegł jego członki, sam przeto własnymi rękami rozsunał kotary. Potem znów się położył i postanowił dokładnie uważać na wszystko. Chciał bowiem pierwszy odezwać się do ducha w chwili jego zjawienia się, nie życzył sobie być zaskoczonym niespodziewanie ani przerażonym.

Ludzie szczególnej odwagi, którzy utrzymują, że mogą znieść wszelkie wrażenia, nigdy zimnej krwi nie tracąc, zwykle mówią o sobie:

„Zdolni jesteśmy do wszystkiego: od zjadania chleba aż do połykania ludzi!”

Między tymi dwiema ostatecznościami znajduje się niewątpliwie szerokie pole do popisu.

Nie pragnę bynajmniej w Scrooge'u przedstawić takiego samochwały, mogę was jednak zapewnić, że był on przygotowany istotnie na cały szereg nadzwyczajnych zjawisk i wmawiał w siebie, że teraz już chyba nic nie może go wprawić w zdumienie, zaczynając od kolebki dziecka, a kończąc na olbrzymim nosorożcu.

Właśnie dlatego, że był na wszystko przygotowany, nie spodziewał się wcale, że na razie nic nadzwyczajnego nie zobaczy. Gdy przeto zegar wybił pierwszą, a nie zjawił się nikt, uczuł lodowate zimno, a ciało jego przebiegły dreszcze. Minęło pięć, dziesięć minut, kwadrans — żadnego widma!

Przez cały czas leżał na łóżku, w samym środku czerwonego światła, które oblało go w chwili, gdy zegar wydzwaniał godzinę, a które właśnie dlatego, że było tylko światłem, niepokoiło go o wiele więcej niż cały tuzin duchów, ponieważ niepodobna było odgadnąć, co ono znaczy i czego chce. Chwilami obawiał się, że może nagle spłonąć, nie mając nawet tej pociechy, iż stałoby się to z jego świadomością. Wreszcie przyszło mu na myśl, że źródło tego dziwnego światła znajduje się zapewne w sąsiednim pokoju, z którego — jak to stwierdził po bliższej obserwacji — istotnie promieniowało. Doszedłszy do tego przekonania, wstał po cichu i w pantoflach podreptał do drzwi.

W chwili gdy Scrooge położył rękę na klamce, jakiś obcy głos kazał mu wejść. Usłuchał.

Był to jego własny pokój. To nie ulegało wątpliwości. Ale zaszła w nim dziwna zmiana!

Ściany i sufit były przystrojone zielonymi gałęziami, tak że cały pokój wyglądał jak altana ozdobiona mnóstwem purpurowych jagód. Liście bluszczu, jemioly i ostrokrzewu odbijały światło i wyglądały niby mnóstwo małych zwierciadełek. Na kominie płonął tak silny ogień, jakiego ten komin, zawsze ostygły za czasów Scrooge'a i Marleya, od wielu, wielu lat nie znał.

Na podłodze był urządzony jakby tron z indyków, gęsi, kaczek, dziczyzny, wielkich kawałów pieczeni, prosiąt, długich wianków kielbas, plum-puddingów, beczulek z ostrygami, pieczonych kasztanów, różowych jabłek, soczystych pomarańczy, apetycznych gruszek, olbrzymich placków i naczyń z wrzącym ponczem — a wszystko to napępniało cały pokój przedziwnym zapachem. Na tym tronie rozparł się wygodnie wspaniale wyglądający, z wesołym obliczem olbrzym. W ręku trzymał płonącą pochodnię w kształcie rogu obfitości i unosił ją wysoko, aby oświecić Scrooge'a w chwili, gdy ostrożnie zaglądał do pokoju.

— Wejdź! — zawołał ów Duch. — Wejdź, przyjacielu, musimy się przecież poznać.

Scrooge wszedł nie bez trwogi i pochylił głowę przed Duchem.

Nie był to już ten śmiały, niczego nieobawiający się, dawny Scrooge; teraz, chociaż oczy Ducha miały wyraz pogody i łagodności, to jednak unikał ich spojrzenia.

— Jestem Duchem Tegorocznego Bożego Narodzenia — przemówiło widmo — przypatrz mi się dobrze.

Scrooge podniósł lękliwie oczy i spojrzał na Ducha z szacunkiem.

Duch ten był przybrany w rodzaj ciemnozielonej opończy, obramowanej białym futrem. Szerokie piersi były odsłonięte, jak gdyby nic nie zależało mu na tym, aby je zakrywać. Także i nogi, wyglądające spod szerokich fałd opończy, były bose, głowa zaś nie miała żadnego innego nakrycia, tylko wieniec z liści dębowych, wśród których tu i ówdzie błyszczały sopelki lodu. Ciemnie jego włosy spadały w swobodnych zwojach na barki. Pogodne oblicze, błyszczące oczy, rubaszny głos, swobodne zachowanie się — wszystko mówiło o jego otwartości i wesołym usposobieniu. Przy boku jego wisiała u pasa stara pochwa, na poły zjedzona przez rdzę, bez miecza.

— Nie widziałeś dotychczas nikogo do mnie podobnego? — zapytał Duch.

— Nigdy — potwierdził Scrooge.

— Nie spotykałeś nigdy na drodze swego życia młodszych członków mojej rodziny? Mam na myśli (bo sam jestem bardzo młody) moich starszych braci, którzy urodzili się ostatnimi laty? — pytał Duch dalej.

— Nie zdaje mi się — odparł Scrooge. — A nawet jestem pewien, że nie. Dużo masz braci, Duchu?

— Przeszło dziewięćset — odpowiedział Duch.

— Przerazająco liczna rodzina, szczególnie dla tego, kto musi troszczyć się o jej utrzymanie — mruknął Scrooge.

Duch Tegorocznego Bożego Narodzenia powstał.

— Duchu — rzekł Scrooge pokornie — prowadź mnie, dokąd chcesz. Wczorajszej nocy wyprowadzono mnie przemocą i dano mi naukę, która teraz zaczyna działać. Dziś jestem gotów iść za tobą i jeśli zamierzasz nauczyć mnie czegoś, nie omieszkać skwapliwie z tego skorzystać.

— Dotknij ręką mojej szaty — odezwał się Duch.

Scrooge z całą siłą chwycił skraj szaty Ducha.

Zielone gałęzie, czerwone jagody, indyki, gęsi, pieczenie, prosięta, kielbasy, pasztety, puddingi, owoce i poncz — wszystko znikło w jednej chwili. Znikł także pokój, ogień, czerwony blask, nocna pora, a Scrooge z Duchem znaleźli się na ulicach miasta.

Był to ranek pierwszego dnia Bożego Narodzenia. Z chodników i z dachów zmiatano śnieg, który rozsypywał się w powietrzu, tworząc sztuczną śnieżycę, ku niemałej ucieście igrających na ulicy dzieci.

Ściany domów, a zwłaszcza ich okna, wydawały się zupełnie czarne, nie tylko w porównaniu z gładkim, białym całunem śniegu na dachach, ale nawet w porównaniu z brudnym śniegiem na ulicach, w którym ciężkie koła wozów i pojazdów powyorywały głębokie bruzdy. Bruzdy owe krzyżowały się w najrozmaitszych kierunkach, tworząc istny labirynt wąskich kanałów w brunatnym, z wierzchu zakrzepłym błocie i w przemienionej w lód wodzie.

Niebo było pochmurne i nawet najkrótsze ulice ginęły w gęstej mgle, której cięższe części spadały na ulice w postaci szronu. Nie było nic wesołego w całym otoczeniu — a jednak unosiło się w powietrzu coś tak uroczystego i tak radosnego, że nawet najpiękniejsza letnia pogoda ani najjaśniejsze promienie letniego słońca nie zdołałyby stworzyć czegoś podobnego.

Nawet robotnicy zmiatający śnieg z dachów byli pełni wesołości i ochoty. Nawoływali się wzajem z dachów, od czasu do czasu rzucali jeden na drugiego kule śniegowe — pocziwszy to pocisk aniżeli niejedno słówko — i zanosili się serdecznym śmiechem zarówno przy trafieniu celu, jak w razie chybienia go.

Sklepy spożywcze były tylko do połowy otwarte, natomiast owocarnie imponowały swoim bogactwem. Tu widziałeś ogromne, pękate kosze wspaniałych kasztanów, przypominające swoją wypukłością brzuchy starych smakoszków. Ustawione we drzwiach sklepów, zdawało się, że lada chwila upadną na ulicę w zachwycie swego apoplektycznego zadowolenia. Tam spostrzeżłeś czerwone główki hiszpańskiego czosnku, jaskrawe, przysadziste, zdające się spoglądać wyzywająco na skromnie snujące się dziewczęta, które tylko spod oka spoglądały na wiszące wszędzie girlandy uwite z gałązek ostrokrzewu. Dalej piętrzyły się apetyczne piramidy jabłek i gruszek. Ówdzie ułożono stosy winogron, na których ponętny widok aż ślinka cieknie. Dalej umieszczono całe stosy ciemnych, puszkami okrytych orzechów, przypominających swoim aromatem dawno zapomniane przechadzki po lasach pełne uroku. Dalej pieczone i suszone jabłka norfolkskie, pomarszczone i ciemne, lecz prześlicznie wyglądające na tle cytryn i pomarańczy, które zdawały się gwałtem napraszać, aby je zawinięto w papier, zabrano do domu i tam spożyto na deser. Złote i srebrne rybki — i one nawet, chociaż posiadają krew zimną, teraz wystawione w małych, szklanych akwariach, wśród tego bogactwa owoców, jakby odgadywały, że dzieje się coś niezwykłego, bo z wielkim wzburzeniem przepływały tam i z powrotem swoje siedziby.

A właściciele sklepów kolonialnych... Co u nich za skarby! Chociaż ich sklepy były do połowy zamknięte, lecz przez szpary można było podziwiać ich zasoby. Ale nie tylko

zwracały tam uwagę wesołe szczękania talerzy wag; nie tylko furkot sznurków, szybko odwijanych z żelaznych kólek, aby nimi zręcznie oplatać paczki zakupionych towarów; nie tylko nieustanny brzęk blaszanych szufelek, nabierających kawę lub herbatę; nie tylko łoskot wydawany przez różnorodne paczki, rzucane na kontuar, które to się zjawiały, to znikwały, jak kule w rękach zonglera...

Nie tylko zwracał tam jeszcze uwagę zmieszany aromat kawy i herbaty, tak przyjemny dla powonienia; nie tylko stosy czerwonych, dużych rodzynek i śnieżnobiałych migdałów; nie tylko góry cynamonu i innych silnie pachnących korzeni; nie tylko owoce smażone w cukrze, których sam widok łaskotał podniebienie; nie tylko festony mięsistego i soczystego winogrodu; nie tylko koszyki pełne skromnie zarumienionych śliwek francuskich: słowem, nie tylko wszystkie te przeróżne smaczne rzeczy przedstawiane w najponętniejszych postaciach...

Główną uwagę zwracali kupujący, niecierpliwie pragnący wypełnić dziś w zupełności od dawna umyślony plan. Trzeba było widzieć, jak się tłoczyli w drzwiach, uderzając jeden drugiego swymi koszykami i paczkami, zapominając na kontuarze część zakupów i szybko wracając po nie, popełniając tysiące pomyłek i przeoczeń z nadzwyczajną dobroduszością — jednocześnie trzeba było podziwiać cierpliwość kupca i jego pomocników, ich uprzejmość, ich ugrzecznienie, z jakim się dziś starali zwracać do wszystkich. Zdawało się, że gdybyś od nich zażądał serca, to bez wahania wyjęliby je z piersi i ofiarowali z równą skwapliwością jak herbatę lub kawę.

Wtem zabrzmiały dzwony wzywające pobożnych do kościoła — i wkrótce ulice zaroily się ludźmi, którzy poprzybierali nie tylko odświętne szaty, ale także najbardziej święteczne miny.

Jednocześnie z bocznych ulic, uliczek i zaułków bez nazwy wypłynęło mnóstwo ludzi, którzy nieśli swój obiad do piekarza, ażeby go tam odgrzać.

Widok tych biednych, a jednak tak szczęśliwych w tej chwili, zdawał się najwięcej zajmować Ducha, zatrzymał się bowiem wraz ze Scroogem przy drzwiach jednego z piekarzy i podnosząc pokrywy naczyń w chwili, gdy niosący je przechodzili mimo niego, okadzał ich posiłek dymem swej pochodni.

Była to iście cudowna pochodnia; gdy bowiem kilku ludzi poczęło się o coś spierać i nawet padły z ich ust dość ostre wyrazy, Duch pokropił ich kilku kroplami rosy ze swej pochodni, a natychmiast wróciła im pogoda umysłu. Przyznawali teraz, że to wstyd sprzeczać się w dzień Bożego Narodzenia.

Niebawem umilkły dzwony, a sklepy piekarzy zamknięto. W powietrzu unosiły się smaczne zapachy odgrzewanych obiadów, a kominy pieców piekarzy wyrzucały kłęby dymu pomieszanego z parą.

— Zapewne twoja pochodnia ma jakąś szczególną własność? — zapytał Scrooge.

— Tak jest. Własność czynienia wszystkiego przyjemnym.

— I własność ta działa na każdy obiad w tym dniu? — pytał dalej Scrooge.

— Na każdy, który podają z dobrą wolą. Szczególniej na obiad ubogich.

— Dlaczego szczególnie na ich obiad?

— Ponieważ oni tego najwięcej potrzebują.

Wciąż niewidzialni, Duch ze Scroogiem udali się na przedmieście.

Duch mógł (co Scrooge zauważył już u piekarza), pomimo swej olbrzymiej postaci, dostawać się wszędzie z łatwością i wszędzie, zarówno w niskiej lepiance, jak i we wspaniałej sali pałacu, przedstawiał się pięknie i imponująco, jak przystało na istotę nadprzyrodzoną.

Być może, iż powodowany radością, jaką odczuwał wskutek swej władzy, a może powodowany serdeczną, uprzejmą naturą i współczuciem dla wszystkich biednych — dość, że Duch zaprowadził Scrooge'a, trzymającego się wciąż jego szaty, do mieszkania jego pomocnika. Na progu Duch zatrzymał się z uśmiechem i pobłogosławił mieszkanie Boba Cratchita rosą ze swej pochodni.

Pomyślcie tylko — Bob miał tylko piętnaście „bobów” na tydzień; każdej soboty chował do kieszeni ledwie piętnaście swoich imienników; a jednak Duch błogosławił dzisiejszej nocy wigilijnej jego domowi.

Małżonka Cratchita, w ubogiej, dwa razy już nicowanej sukni, przystrojonej bardzo tanimi wstążkami, ale — jak na sześć pensów — wyglądającymi wcale ładnie, stała właśnie na środku pokoju i nakrywała stół. Belinda Cratchit, jej druga córka, pomagała jej, podczas gdy pan Piotr Cratchit wsuwał widelec do miski pełnej ziemniaków, a równocześnie wpychały mu się do ust rogi olbrzymiego kołnierzyka (prywatna własność Boba, który pożyczył ją swemu synowi i spadkobiercy na cześć dzisiejszego święta), napelniającego go dumą i chęcią pokazania się w tym wspaniałym stroju wśród rówieśników w parku.

Po chwili wbiegły dwie małe latorośle rodziny Cratchit, dziewczynka i chłopczyk, opowiadając głośno, że spoza drzwi piekarza doszedł ich zapach pieczonej gęsi i że wiedzą, iż ta gęś do nich należy. I w niewypowiedzianej radości tańczyły te rozbawione dzieciaki dokoła stołu, podnosząc pana Piotra Crachita pod niebiosa, podczas gdy on

(wcale nie dumny, chociaż kołnierzyk prawie go dusił) dmuchał w ogień tak, że ziemniaki gotujące się w garnku pukały o pokrywę, jakby błagały, aby je wypuszczono i obrano z łupiny.

— Gdzie też ojciec tak długo siedzi? — odezwała się pani Cratchit. — I twój brat, Mały Tim? A Marta też zeszłorocznej wigilii przyszła o pół godziny wcześniej.

— Oto jest Marta, mateczko — odpowiedziało dziewczę, które w tej chwili właśnie weszło do pokoju.

— Bóg z tobą, drogie dziecię! Jakże późno przychodzisz! — rzekła pani Cratchit, obsypując córkę pocałunkami, a równocześnie zdejmując z niej szal i kapelusz.

— Miałyśmy wczoraj wieczorem wiele roboty — odparło dziewczę — na dziś musiałyśmy ją wykończyć, mamó.

— Wszystko już dobrze, skoro tu jesteś — rzekła pani Cratchit. — Usiądź przy kominku, drogie dziecię i ogrzej się.

— Nie, nie, ojciec idzie — odezwało się dwoje najmłodszych dzieci, które zawsze i wszędzie trzymały się razem — schowaj się Marto, schowaj się!

Marta ukryła się, a w tej chwili właśnie wkroczył do pokoju Bob, ojciec.

Co najmniej na trzy stopy, nie licząc w to frędzli, zwieszał się szal z szyi na jego piersi, znoszone zaś suknie były w wielu miejscach połatane i powycierane szczotką, aby w ten sposób ratować jakoś przyzwoity pozór. Na barkach jego siedział Mały Tim.

Biedny Mały Tim.

W rączkach miał małe kule do podpierania, a członki jego opasywały metalowe taśmy, które utrzymywały go na słabych nóżkach.

— Gdzież nasza Marta? — zapytał Bob Cratchit, rozglądając się po pokoju.

— Nie przyjdzie — odrzekła pani Cratchit.

— Nie przyjdzie? — powtórzył Bob, tracąc od razu dobry humor.

Był bowiem w najlepszym usposobieniu, nawet w drodze z kościoła do domu galopował dziarsko, udając konia Małego Tima, który był tym zachwycony.

— Nie przyjdzie? — powtórzył raz jeszcze z żalem. — Nie spędzi z nami wieczoru wigilijnego?

Marta nie chciała dłużej sprawiać ojcu przykrości, choćby nawet tylko przez żarty, wyszła tedy z ukrycia i otoczyła rękoma jego szyję, podczas gdy dwoje małych Cratchitów zajęło się Małym Timem i zaprowadziło go do kuchni, aby przysłuchał się, jak to śpiewa pudding gotujący się w kotle.

— A jakżeż zachowywał się Mały Tim? — zapytała pani Cratchit, nażartowawszy się do syta z łatwowierności Boba i pozwoliwszy mu serdecznie wyściskać córkę.

— Jak można najlepiej — odrzekł Bob. — To złote dziecko. Nie wiem, czemu to się dzieje, ale skutkiem przesiadywania w samotności robi się teraz jakimś marzycielem i wymyśla sobie najdziwniejsze rzeczy. Dziś, gdy wracaliśmy do domu, powiedział mi, iż jest pewny, że wszyscy ludzie w kościele zwrócili na niego uwagę dlatego, ponieważ jest kaleką, i że kalectwo jego powinno im w dniu Bożego Narodzenia przypomnieć Tego, który sprawił, iż chromi chodzili, a ślepi widzieli.

Głos Boba drżał, gdy wymawiał te słowa, a zadrżał jeszcze więcej, gdy dodał, że Mały Tim z każdym dniem staje się silniejszy i rzeźwiejszy.

Tymczasem dało się słyszeć stukanie małych kul o podłogę i po chwili do pokoju wrócił Mały Tim, wspierany przez braciszka i siostrzyczkę, którzy go podprowadzili do jego krzeselka przy kominku.

Bob zawinął teraz rękawy surduta jak gdyby one zasługiwały na baczną ochronę — i wziął się do przygotowania z jałowcówki i cytryn czegoś w rodzaju grogu. Mieszaninę tę rozgrzewał przy ogniu kominka, aby ją doprowadzić do właściwej temperatury.

Gdy Bob był zajęty tą ważną czynnością, pan Piotr w towarzystwie dwojga małych, nierozłącznych Cratchitów, którzy, mówiąc nawiasem, posiadali zdolność znajdowania się jednocześnie w dwudziestu różnych miejscach — wybrał się po gęś, którą niebawem w uroczystym pochodzie wniósł do pokoju.

Teraz powstał taki hałas, jak gdyby gęś była najrzadszym ze wszystkich ptaków, upierzonym dziwem, wobec którego nawet czarny łabędź byłby czymś zupełnie zwyczajnym.

Jakoż istotnie była ona takim dziwem w tym domu.

Pani Cratchit zagrzała przy kominku zawczasu przygotowaną polewę do pieczystego; pan Piotr przysmażał kartofle z niepodobnym do opisanie zapalem; panna Belinda studziła kompot z jabłek; Marta ścierała proch z ogrzanych talerzy; Bob wziął na ręce Małego Tima i posadził go przy stole obok siebie w najwygodniejszym miejscu; dwoje małych Cratchitów przystawiało krzesła do stołu, przy czym żadne z nich nie zapomniało o sobie i zajmąwszy przeznaczone im miejsca, powsadzały w buzie łyżki, aby nie napierać się gęsi, zanim przyjdzie na nie kolej.

Wreszcie wniesiono potrawy i odmówiono modlitwę. Potem nastąpiła pauza, w czasie której wszyscy wstrzymali oddech w piersiach, a pani Cratchit, przyjrzawszy się okiem doświadczonego ostrzu noża, zabrała się do podzielenia gęsi na kawałki. Gdy

dokonała dzieła i z wnętrza gęsi wyjęła ponętne nadzienie, zabrzmiał dokoła stołu radosny szmer, a nawet Mały Tim, podniecony przez dwoje małych Cratchitów, uderzył trzonkiem noża o stół i zawołał słabym głosem:

— Wiwat!

Nie było chyba jeszcze nigdy na świecie takiej gęsi. Bob zapewniał, iż uważa to za niemożliwe, aby kiedykolwiek w ogóle upieczono taką gęs. Jej delikatne mięso i jej tłustość, jej wielkość i taniość były przedmiotem ogólnego podziwu. Z dodatkiem kompotu jabłecznego i przysmażonych kartofli, stanowiła ona zupełnie wystarczające danie dla całej rodziny. Gdy pani Cratchit zauważyła jedną, jedyną, małą kosteczkę pozostawioną na półmisku, oświadczyła z wielką radością, że przecież nie wszystko zostało spożyte! A jednak każdy z biesiadników jadł, ile chciał. Najlepszym tego dowodem byli mali Cratchitowie, na policzkach ich bowiem świeciły się resztki kompotu i kartofli.

Teraz panna Belinda zmieniała talerze, a pani Cratchit opuściła pokój, by wyjąć z kociołka i przynieść pudding.

Tego ważnego aktu nie mogła dopełnić przy świadkach, gdyż zanedo była niespokojna.

A nuż się pudding nie udał? Wyobraźmy sobie, że przy wyjmowaniu z kociołka rozpadł się w kawałki! Lub że złodziej wśliznął się do kuchni i ukradł go, podczas gdy raczono się gęsią! Na tę myśl dwoje małych Cratchitów pobladło z przerażenia. W ogóle przypuszczano przez chwilę wszelkie możliwe okropności...

Hallo — chmura pary! Pudding wyjęty z kociołka...

Co za przyjemny zapach bije z serwety, w którą zawinięto pudding. Właściwie mieszanina apetycznych woni. Przypominają one trochę kuchnię, trochę piekarnię, a trochę pralnię. Takie aromaty wydawał z siebie ów pudding.

Wreszcie do pokoju weszła pani Cratchit, wzruszona, ale dumna i uśmiechnięta, niosąc przed sobą pudding, twardy i zbity jak kula działowa, oświecony promieniami zapalonego rumu, z świąteczną gałązką ostrokrzewu wetkniętą w sam środek.

O, nadzwyczajny, cudowny pudding!

Bob Cratchit oświadczył głosem spokojnym i pewnym, że uważa go za arcydzieło kucharskie pani Cratchit od czasu ich małżeństwa. Pani Cratchit odpowiedziała na to, że teraz, kiedy już ciężar spadł jej z serca, przyznaje chętnie, że była bardzo zaniepokojona, ponieważ zdawało jej się, że za dużo wzięła mąki.

Każdy miał coś do zauważenia, ale nikt nie ośmielił się powiedzieć ani nawet pomyśleć, że był to jednak za mały pudding dla tak licznej rodziny. Byłoby to wprost bluźnierstwo. Każdy członek rodziny Cratchitów wstydziliby się, gdyby mu coś podobnego choćby tylko przyszło do głowy.

Wreszcie skończyli ucztę, posprzątało ze stołu i dorzucono węgla do ognia na kominku. Podsycone płomienie zajaśniały jeszcze weselej niż przedtem.

Teraz skosztowano przygotowanego przez Boba grogu i okazało się, że jest znakomity.

Z kolei ustawiono na stole jabłka i pomarańcze, a w ogień rzucono kilka garści kasztanów. Następnie cała rodzina Cratchitów zasiadła przed kominkiem, jak wyraził się Bob Cratchit — w koło, chociaż było to właściwie tylko półkoło: Bob pośrodku, a obok niego cały zapas szklanek rodziny — dwie szklaneczki i garnuszek bez uszka.

Naczynia te jednak były napełnione gorącym grogiem, który wyglądał w nich równie dobrze, jak gdyby to były złote puchary. Bob rozlewał ten napój z promieniejącym wzrokiem, podczas gdy w ogniu podskakiwały i strzelały kasztany. Potem Bob wznosił toast:

— Daj nam Boże, moi drodzy, przepędzić szczęśliwie święta! Niech nas Bóg błogosławi!

Cała rodzina powtórzyła ten toast.

— Niech Bóg błogosławi nas wszystkich i każdego z osobna! — rzekł ostatni Mały Tim.

Siedział tuż obok ojca, na małym krzeselku. Bob trzymał jego małą, wychudłą rączkę w swojej dłoni, jak gdyby okazać dziecięciu swoją szczególną dla niego miłość, zarazem jak gdyby obawiając się, żeby mu ukochanego maleństwa nie zabrano.

— Duchu — odezwał się Scrooge ze współczuciem, którego nigdy dotychczas nie doznawał — powiedz mi, czy Mały Tim żyć będzie?

— Widzę próżne krzesło przy kominku — odparł Duch — i starannie przechowywane kule bez właściciela. Jeżeli przyszłość nie zmieni tego widzenia, dziecko umrze.

— Nie, nie! — zawołał Scrooge. — O, dobry Duchu, powiedz, że ono będzie żyło...

— Jeżeli przyszłość nie zmieni tego widzenia — powtórzył Duch — to już żaden z moich następców nie zastanie tutaj tego dziecka. Ale o co ci chodzi? Skoro musi umrzeć, to lepiej, żeby umarło zaraz i zmniejszyło przez to nadmiar ludności.

Scrooge, słysząc swoje własne słowa, powtórzone przez Ducha, pochylił głowę, przejęty skrucą i żalem.

— Człowieku — rzekł Duch — jeśli masz serce, a nie kamień, to nigdy nie wypowiadaj tak ohydnych słów, dopóki nie zrozumiesz, czym jest właściwie ten nadmiar ludności i gdzie on się znajduje. Czy ty masz prawo rozstrzygać, którzy ludzie mają żyć, a którzy mają umrzeć? Być może, iż ty w oczach Stwórcy jesteś o wiele mniej wart życia niż miliony istot podobnych do tego dziecka biednego człowieka. Wielki Boże! Czy można obojętnie słuchać, jak marny robak, który nie widzi nic poza liściem, na którym siedzi, skarży się obłudnie na to, iż wpośród jego głodnych, dręczonych nędzą bliźnich znajduje się za wiele żyjących!

Scrooge wysłuchiwał upomnień Ducha w pokorze i spuścił oczy. Naraz usłyszał wymówione swoje nazwisko.

— Niech żyje pan Scrooge! — przemówił Bob. — Wypijmy jego zdrowie, gdyż jest on naszym chlebodawcą i jemu zawdzięczamy dzisiaj naszą ucztę!

— Jemu zawdzięczamy? — zawołała pani Cratchit z oburzeniem. — Pragnęłabym bardzo, żeby tu się zjawił. Wyprawiłabym mu ucztę po swojemu. Tak jest. Wypowiedziałabym mu w oczy wszystko, co o nim myślę, a spodziewam się, że nie przypadłoby mu to do smaku!

— Droga żono, mówisz to przy dzieciach — upomniął ją łagodnie Bob. — Dzisiaj przy tym mamy święto Bożego Narodzenia!

— Istotnie, tylko w tak wielkie święto można wznosić zdrowie tak podłego, obrzydłego skąpca, człowieka bez serca, jakim jest Scrooge — oburzała się w dalszym ciągu pani Cratchit. — Ty wiesz, Robercie, że on jest taki właśnie. Nikt nie wie o tym lepiej od ciebie!

— Droga żono — powtórzył Bob — dziś święto Bożego Narodzenia! Zastanów się!

— A więc wychylę jego zdrowie, uczynię to przez miłość dla ciebie i przez wzgląd na dzisiejsze święto — rzekła pani Cratchit. — Niech żyje długie lata! Życzę mu wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku! Życzę mu tego, ale wątpię, czy się to spełni. Bardzo wątpię...

Dzieci, idąc za przykładem matki, wypłyły również zdrowie Scrooge'a.

Był to pierwszy akt, którego dokonali tego wieczoru bez serdeczności i bez ciepła, pod naciskiem przymusu. Mały Tim wypił ostatni, ale nie dodał do tego żadnej uwagi. Widocznie Scrooge był postrachem rodziny, czymś w rodzaju ludożercy. Wymienienie jego nazwiska rzuciło na nich wszystkich ponury cień, który nie ustąpił przez całe pięć minut.

A gdy wreszcie ustąpił, byli weseli dziesięć razy więcej niż przedtem, ponieważ uwolnili się od tego okropnego Scrooge'a.

Bob Cratchit uroczyście oznajmił, że ma obiecane dla pana Piotra miejsce, które mu będzie przynosiło aż półszósta szylinga tygodniowo. Dwoje małych Cratchitów roześmiało się serdecznie na myśl, że będą widzieli Piotra już jako człowieka pracy. Sam pan Piotr spoglądał w zamyśleniu przez otwór swego kołnierzyka w ogień, zastanawiając się zapewne nad tym, w jakich papierach ulokuje swoje oszczędności, skoro już znajdzie się w posiadaniu tak bajecznej pensji.

Marta, która pracowała u modniarki, opowiadała, jak wiele teraz ma do roboty, ile to godzin w porze większego ruchu musi pracować i że zamierza jutro wyspać się za wszystkie czasy; jutro bowiem miała dzień zupełnie wolny. Opowiadała także, iż przed kilku dniami widziała pewną hrabinę i pewnego lorda, a lord był prawie tego wzrostu co Piotr. Przy tych jej słowach Piotr podciągnął rogi swego kołnierzyka tak wysoko, że poza nimi głowa jego prawie zniknęła.

Tymczasem kasztany i poncz krążyły wciąż wśród rozbawionej rodziny, a Mały Tim zaśpiewał swym żalosnym głosikiem piosenkę o dziecku zasypianym przez śnieg, a śpiewał bardzo ładnie.

W tym wszystkim nie było nic szczególnego, a tym bardziej nic arystokratycznego. W rodzinie tej nie było ani jednej postaci wytwornej, pięknie ubranej. Ich obuwie straciło dawno własność nieprzepuszczania wody, ich odzież była dobrze wyszarzana; dzieci wyglądały nędznie, a pan Piotr z pewnością znał dobrze wewnętrzne urządzenie lombardu. Mimo to byli szczęśliwi, zadowoleni i przepełnieni wdzięcznością za te skromne rozkosze, jakimi ich los obdarzał. Kochali się wzajem, panowała wśród nich zgoda i spokój ludzi uczciwych. W chwili, kiedy ich Scrooge opuszczał, zdawali się być jeszcze bardziej szczęśliwi w świetle błysków pochodni Ducha. Scrooge z trudnością oderwał od nich oczy, a zwłaszcza żał mu było rozstawać się z Małym Timem.

Zrobiło się ciemno i zaczął padać gęsty śnieg. Scrooge i Duch szli teraz przez ulice Londynu. W oknach domów błyszczały jasne, wesole światła. Tu można było widzieć przygotowania do wieczerzy, bogato nakryte stoły, całe stosy talerzy ogrzewanych na gazie, kosztowne opony i meble; tam dzieci wybiegały na pokrytą śniegiem ulicę, aby powitać jak najprędzej przybywające zameżne siostry i braci, kuzynów, wujów, ciotki; ówdzie na oknach przesuwwały się cienie zgromadzonych gości; tam znów dziewczęta, przybrane w futrzane kołnierze i takież buciki, szczebiocząc jedna przez drugą, lekkim krokiem spieszyły w sąsiedztwo. Biada kawalerom, którzy by teraz rzucili okiem na ich

zarumienione twarzyczki i błyszczące, ożywione spojrzenia. Te figlarne czarodziejki wiedziały doskonale, jak są dla tych biedaków niebezpieczne!

Gdyby sądzić według mnóstwa ludzi, dążących w odwiedziny do krewnych lub przyjaciół, można by mniemać, że nie zastaną oni nigdzie nikogo na ich przyjęcie. Byłaby to omyłka. W każdym domu oczekiwano gości i na każdym kominku płonął wesoły ogień. Jakżeż Duch był szczęśliwy! Odślaniał swoją szeroką pierś i otwierał swą pełną dłoń, na wszystko dokoła rzucając hojnie szczere, pocziwe, szlachetne rozradowanie. Nawet latarnik, przebiegający w ubraniu odświętnym ciemne ulice, aby ponurą mgłę ich rozjaśnić blaskami światła i który właśnie myślał o spędzeniu wieczoru u towarzysza pracy, roześmiał się głośno, gdy Duch przeleciał obok niego, chociaż pocziwina ani się domyślał, że spotkał istotę tak dziś ważną.

Wtem, bez żadnego uprzedzenia ze strony Ducha, znaleźli wśród jakiegoś rozległego pustkowia błotnistego, na którym wznosiły się tu i ówdzie rzucone ogromne głazy, jak gdyby to było cmentarzysko olbrzymów; woda, niemająca tu żadnego hamulca, zalałaby całą przestrzeń, gdyby mróz nie ujął jej w okowy lodowe. Oprócz mchu, paproci i twardej, ostrej trawy, nic więcej tu nie rosło. Na dalekim zachodzie niktące słońce pozostawiło pas płonącej czerwieni, spoglądającej na to rozpaczliwe pustkowie niby nabiegłe krwią oko rozjątrzonego tygrysa. Pas ten zapadał się coraz niżej, aż wreszcie pogążył się zupełnie w ciemnościach nocy.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Scrooge.

— Tu mieszkają górnicy pracujący w głębiach ziemi — odrzekł Duch. — Patrz tam! Oni mnie poznali.

W oknie jakiejś nędznej lepianki błyszczało światło; pomknęli tam szybko.

Zastali wesołe towarzystwo, siedzące dokoła wielkiego, jasno płóącego ogniska. Zgrzybiały starzec, jego sędziwa żona, w otoczeniu dzieci, wnuków i prawnuków, wszyscy w odświętnych szatach. Starzec śpiewał hymn wigilijny głosem, który niekiedy tylko przygłuszał wycie wiatru nad pustkowiem. Była to bardzo stara pieśń, którą on śpiewał jeszcze wówczas, kiedy był małym chłopcem. Od czasu do czasu wszyscy wtórowali mu chórem. Za każdym razem zaś, gdy ich głosy zabrzmiały, starzec ożywał się, a głos jego stawał się silniejszy; natomiast gdy milkły, jego siły słabły i znów zapadał w niemoc starczą.

Duch nie bawił tu długo. Poleciwszy Scrooge'owi, by trzymał się silniej jego opończy, uniósł go w powietrze.

Jak myślicie — dokąd go uniósł? Przecież nie na morze?

A właśnie na morze!

Ku wielkiemu swemu przerażeniu, ujrzał Scrooge znikającą poza sobą ziemię, a w dole usłyszał głuchy pomruk pieniających się fal, z wściekłością uderzających o skaliste brzegi, jak gdyby rzucały zuchwałe wyzwanie podmywanej przez nie ziemi.

Na posępnej skale, do połowy zanurzonej w wodzie, w odległości mili od stałego lądu, stała samotna latarnia morska. Przez cały rok szalały i huczały dokoła niej fale. Ogromne stosy traw morskich osnuwały jej stopy, mewy — można by mniemać, że zrodzone z wiatru, jak trawa morska z fal — unosiły się i opadały w powietrzu dokoła jej szczytu, jak u dołu rozigrane fale, nad którymi te ptaki żeglowały.

I tutaj nawet dwaj latarnicy rozpalili ogień, który rzucał jasny snop promieni na wyburzoną powierzchnię morza przez otwór w grubym murze latarni.

Ci, co rozniecili ogień, ludzie prości, wyciągnawszy zgrubiałe od ciężkiej pracy ręce poprzez stół, przy którym zasiedli, życzyli sobie wzajem wesołych świąt, trącąc się kubkami gorącego grogu. Jeden z nich, starszy, o twarzy zniszczonej przez ustawiczne zmiany powietrza, pooranej zmarszczkami, podobnej do twarzy figur wyrzynanych ongi na przodach okrętu, zaśpiewał jakąś dziką pieśń wigilijną ochryłym głosem przypominającym poryki wiatru w czasie burzy.

Duch znów uniósł Scrooge'a ponad czarne, piętrzące się morze, aż w końcu, daleko już od brzegów, zatrzymali się na pokładzie jakiegoś okrętu. Tu wciąż przechodzili z miejsca na miejsce. Zatrzymali się najprzód przy sterniku, następnie przy strażniku, wreszcie przy oficerach na służbie. Wszystkie te szorstkie, surowe postacie, spełniając swoje ciężkie i odpowiedzialne obowiązki, nuciły jednak z cicha pieśń wigilijną, bądź myślały o wielkim święcie, bądź wreszcie opowiadały sobie wzajem wspomnienia dawnych świąt, spędzonych wśród rodziny, snując nadzieję rychłego powrotu do swoich.

Każdy marynarz znajdujący się na tym okręcie, czuwający czy śpiący, zły czy dobry, miał w tym dniu dla towarzyszy lepsze, cieplejsze słowo niż kiedykolwiek w ciągu roku, każdy uczestniczył w uroczystości, każdy w mniejszym lub większym stopniu doznawał radosnego uczucia, myślał o tych, którzy niezawodnie w tej chwili myślą też o nim.

Scrooge przysłuchiwał się żalonym jękom wichru i rozmyślał, jaka to wspaniała rzecz posuwać się wśród nieprzejrzanej ciemności ponad niezmierzoną przepaścią ukrywającą na dnie swoim wielkie tajemnice. Nagle ze zdumieniem usłyszał głośny śmiech. Zdumienie zaś jego wzrosło do najwyższego stopnia, gdy poznał głos siostrzeńca i gdy znalazł się, nie wiadomo jakim sposobem, w jasnym, ciepłym i

schludnym pokoju. Obok niego stał Duch i z życzliwym uśmiechem spoglądał na jego siostrzeńca.

— Ha, ha, ha! — śmiał się wciąż siostrzeniec Scrooge'a. — Ha, ha, ha!

Gdybyś, szanowny czytelniku, co jednak jest niepodobieństwem, znał człowieka śmiejącego się serdeczniej i szczerzej niż siostrzeniec Scrooge'a, to i ja pragnąłbym go poznać. Przedstaw mnie, a będę utrzymywał z nim znajomość.

Nie ma nic słusznieszego, sprawiedliwszego i szlachetniejszego nad prawo równowagi, które sprawia, że o ile choroby i smutki udzielają się innym, o tyle również radość, dobry humor i śmiech są zaraźliwe. Moc tego prawa można było zaobserwować tu właśnie. Gdy bowiem siostrzeniec Scrooge'a śmiał się na całe gardło, trzymając się za boki, kiwając głową i wykrzywiając twarz najdziwaczniej, żona jego śmiała się równie serdecznie, a i zebrani goście nie pozostawiali w tyle. Wszyscy trzęśli się od śmiechu, a wraz z nimi zdawał się śmiać cały pokój:

— Ha, ha! Ha, ha! Ha, ha!

— Jak mnie tu żywym widzicie, powiedział, że wigilia to głupstwo! — wołał siostrzeniec Scrooge'a. — Powiedział najwyraźniej i jestem przekonany, że rzeczywiście tak myśli.

— Tym gorzej dla niego, Fredziu — z oburzeniem zauważyła jego żona.

Błogosławione niech będą kobiety: one nic nie czynią połowicznie i zawsze biorą rzeczy na serio.

Żona Freda, a siostrzenica Scrooge'a była bardzo ładną kobietką. Miała milutką, naiwną twarzyczkę z ponętnymi dołkami na policzkach, prześliczne, jakby stworzone do pocałunków usta i najśłoneczniejszą parę ocząt. W jej piękności było coś wyzywającego, ale w tym dobrym, szlachetnym znaczeniu, które nikomu nie uchybia.

— Jest on po prostu starym dziwakiem — zaopiniował siostrzeniec Scrooge'a. — Nie mylę się: starym dziwakiem i do tego nieznosnym. Mógłby być chociaż cokolwiek grzeczniejszy. Ale wady człowieka są zawsze karą dla niego samego. Jest to prawda niezbita i pamiętając o niej, nie będę mu czynił wymówek.

— Zdaje się, Fredziu, że on jest bardzo bogaty — zauważyła żona. — Przynajmniej ty zawsze mi tak mówisz.

— I cóż z tego, moja droga? — odparł Fred. — Bogactwo jest dla niego bez pożytku, bo nie używa go na nic dobrego. Sam z niego nie korzysta i nie pomaga nikomu. Odmawia sobie nawet wszelkich wygód. Wiem dobrze o tym. Nigdy mi też na myśl nie

przyszło prosić go kiedykolwiek o pomoc. Ha, ha, ha! Ale też on chyba nigdy nie pomyślał o tym, że my kiedyś, wcześniej czy później, odziedziczymy jego skarby...

— Nie cierpię go! — rzekła piękna kobietka, a jej siostry i wszyscy goście przyznali, że ma zupełną słuszość.

— Co do mnie, nie mam do niego żalu — odezwał się siostrzeniec. — Żal mi go, ale nie mógłbym gniewać się na niego, gdybym nawet chciał. Któż bowiem cierpi przez jego kaprysy? On sam, tylko on sam. Uroiwszy sobie na przykład, że powinien nas nie lubić, nie chciał przyjąć naszego zaproszenia. Jakież z tego rezultat? Taki, że uniknął niesmacznego obiadu.

— Tak sądzisz? A mnie się zdaje, że stracił doskonały obiad! — zawołała energiczna, dotknięta w najczulszy punkt kobietka.

Wszyscy przyłączyli się do jej zdania, a chyba mogli być kompetentnymi sędziami w danym razie, gdyż przed chwilą właśnie skończyli ów obiad.

— Tym lepiej — rzekł siostrzeniec Scrooge'a. — Bardzo mnie to cieszy, gdyż co do mnie, wyznam szczerze, nie mam wielkiego zaufania do talentów kulinarnych młodych gospodyń. Jak sądzisz, Topper?

Topper miał wyraźną skłonność do jednej z sióstr żony Fredzia i dlatego zapewne odpowiedział, że będąc kawalerem, a więc niejako pariasem wśród społeczeństwa, nie ma prawa wydawać sądu w tym przedmiocie.

Usłyszawszy to, owa siostra żony siostrzeńca Scrooge'a, pulchna panienka, ta w koronkowej narzutce, nie zaś ta w narzutce z różami, spłoszowała jak piwonია.

— Mów dalej, Fredziu — odezwała się siostrzenica Scrooge'a, klaszcząc w dłonie. — Wypowiedz się, skończ, coś zaczął. On chowa zawsze wszystko pod korzec. Dziwny człowiek!

Zaczepony w ten sposób, Fred wybuchnął znowu śmiechem, a ponieważ było fizycznym niepodobieństwem uniknąć tej zarazy (choć pulchna siostra starała się powstrzymać śmiech przy pomocy aromatycznego octu) więc wszyscy bez wyjątku poszli za przykładem Freda.

— Pozostaje mi tylko dodać — odezwał się Fred, gdy mu minął paroksyzm śmiechu — że wuj, postąpiwszy z nami tak niegrzecznie i nieżyczliwie, nie przyjąwszy mego zaproszenia, sam się pozbawił pewnej dozy radości, która prawdopodobnie nie zaszkodziłaby mu. Jestem przekonany, że miałby tu towarzyszy przyjemniejszych od tych, jakich posiada we własnych swych myślach, czy to przesiadując w starym, zatęchłym kantorze, czy też w zakurzonych i pustych pokojach. Mam zamiar zapraszać

go corocznie bez względu na to, czy mu się to podoba, czy nie, bo mi go żal. Może szydzić z wigilii Bożego Narodzenia do samej śmierci, ale zdaje mi się, że w końcu przekona się do niej, gdy będę chodził do niego co rok i pytał życzliwie: „Wuju Scrooge, jak się miewasz?”. Gdyby go to natchnęło myślą zapisania swemu pomocnikowi jakich pięćdziesięciu funtów, byłbym szczerze zadowolony. Nie jestem tego pewien, ale tak mi się zdaje, że wczoraj go wzruszyłem.

Wszyscy zebrani zaczęli się śmiać z naiwności Freda. On sądził, że mógł wzruszyć Scrooge'a, jak gdyby tego starego kutwę mogło co na świecie wzruszyć. Ale Fred miał przedziwny charakter. Mało go obchodziło, z czego się towarzystwo śmieje; jego cieszyła ta wesołość i aby ją podtrzymać, otworzył nową butelkę wina.

Po herbacie zaczęła się muzyka, była to bowiem muzykalna rodzina. A zapewniam was, że wiedzieli, co robią, gdy zaśpiewali chórem. Szczególnie wyróżniał się Topper, który umiał mruczeć basem jak niedźwiedź, a nigdy nie zaczerwienił się przy tym, ani nie zeszpecił sobie twarzy nabrzmieniem żył na czole.

Siostrzenica Scrooge'a grała wcale dobrze na harfie. Teraz, bez próbowania, uderzyła w struny i zagrała krótką, prostą melodię (ot, drobnostka, mógłbyś nauczyć się jej gwizdać w dwie minuty), a знаła ją doskonale owa dziewczynka, która ongi zabrała Scrooge'a ze szkoły...

Gdy ta melodia zabrzmiała, wszystko, co Scrooge'owi przypomniał Duch Wigilijnej Przeszłości, stanęło mu teraz przed oczami. Miękł coraz bardziej i sądził, że gdyby mógł był słuchać częściej tej piosenki przed laty, byłby niezawodnie stał się lepszy i to własną zasługą, bez pomocy łopaty grabarza, która pogrzebała Jakuba Marleya.

Muzyka jednak nie zajęła całego wieczoru. Mając już jej dosyć, rozpoczęli zabawę w fanty. Bo dobrze jest czasem wrócić do dzieciństwa, zwłaszcza w dzień wigilijny, który jest przecież wielkim świętem dzieci.

Naprzód więc bawiono się w „ślepa babkę”. Oczywiście, że tak. Ale nie chce mi się wierzyć, żeby Topper naprawdę nic nie widział, mając przewiązane oczy; wszakże oczu w trzewikach nie nosił.

Moim zdaniem, była to rzecz ułożona pomiędzy nim i siostrzeńcem Scrooge'a; wiedział o tym niezawodnie i Duch Tegorocznego Bożego Narodzenia.

Sposób, w jaki Topper uganiał się za piękną panią w białym szaliku, był wprost pogwałceniem ludzkiego zaufania. Przewracając krzesła, objając się o fortepian, dusząc się pomiędzy firankami, szedł wszędzie tam, gdzie szła ona! Zawsze wiedział, gdzie ją dopadnie. Nie chwycił nikogo innego. Gdy ktoś wpadł na niego (niektórzy

czynili to umyślnie), udawał, że pragnie tego kogoś chwycić, a potem zaraz zbaczał w kierunku swej ofiary. Na próżno protestowała kilkakrotnie, wołając, że sprzeciwia się to zasadom gry (a każdy musiał przyznać jej słusność), gdy Topper w końcu ją złapał, zapędziwszy w róg pokoju, skąd nie było już wyjścia. Zachowanie się jego było w najwyższym stopniu oburzające. Udawał, że jej nie poznaje, że musi koniecznie dotknąć jej uczesania, że musi się upewnić przez uściśnienie jakiegoś pierścionka na jej palcu i łańcuszka na szyi; to było po prostu występne, zbrodnicze. Niezawodnie powiedziała mu o tym swoje zdanie, gdy podczas dalszego ciągu zabawy, w której nie brali już udziału, siedzieli i rozmawiali poufnie za firankami.

Siostrzenica Scrooge'a nie uczestniczyła w tej grze. Usiadła wygodnie w dużym krześle ze stołeczkiem pod nogami, w zacisznym kąciку, w którym tuż za nią stali Duch i Scrooge. Ale przyłączyła się do gry w fanty i tu okazała wiele dowcipu.

Również w „sekretniku” okazała przedziwną bystrość umysłu i ku wielkiemu zadowoleniu siostrzeńca Scrooge'a, pobiła na głowę swoje siostry, chociaż im także nie brakowało sprytu, co mógłby nawet Topper poświadczyć.

Towarzystwo składało się coś ze dwudziestu osób, młodych i starych, a wszyscy bawili się przewybornie. Nawet Scrooge tak się zainteresował zabawą, że zapomniawszy, iż głos jego nie może być słyszany, wtrącał się często do zabawy, odgadywał zadawane zagadki, zwykle najzupełniej trafnie, gdyż trzeba przyznać, że najostrożniejsza, najsubtelniejsza igła nie mogła się porównać z subtelnością Scrooge'a. Miał on wprawdzie pozór dobroduszny, a nawet głupkowaty, lecz sam go sobie nadawał, ażeby móc wyzyskiwać ludzi.

Duch cieszył się bardzo zmianą jego usposobienia i spoglądał na niego tak życzliwie, że Scrooge prosił go pokornie, jak studencik, aby pozostali do końca zabawy. Ale Duch odpowiedział, że nie może tego uczynić.

— Zaczęli właśnie nową grę — prosił Scrooge. — Tylko pół godziny jeszcze, Duchu, tylko pół godziny, nie więcej!

Była to zabawa „tak i nie”. Siostrzeniec Scrooge'a miał o czymś pomyśleć, a reszta towarzystwa powinna była odgadnąć, co to takiego; na wszystkie pytania mógł odpowiadać: „tak” albo „nie”. Pod krzyżowym ogniem pytań, na które był wystawiony, musiał się przyznać, że kolejno: myślał o zwierzęciu, o żywym zwierzęciu, o niemiłym zwierzęciu, o dzikim zwierzęciu, o zwierzęciu, które czasami mruczało, czasami mówiło, mieszkało w Londynie, chodziło po ulicach, nie było wystawione na widok publiczny, nie było przez nikogo wodzone, nie znajdowało się w menażerii, nie było

zabijane w rzeźni, nie było ani koniem, ani osłem, ani krową, ani bykiem, ani tygrysem, and psem, ani świnią, ani kotem, ani niedźwiedziem.

Przy każdym odgadnięciu niewłaściwym siostrzeniec wybuchał szalonym śmiechem, a nawet zrywał się z kanapy i skakał po pokoju. W końcu pulchna jego kuzynka, wpadłszy również w szal wesołości, zawołała:

— Już go mam! Wiem, co to! Wiem!

— Więc powiedz...

— To twój wujaszek, Scro-o-ge!

Zgadła.

Wszyscy byli zachwyceni, chociaż słusznie ktoś zauważył, że na pytanie czy to jest niedźwiedź, odpowiedź powinna była wypaść: „tak”, ponieważ zaprzeczenie odwróciłoby myśli uczestników zabawy od Scrooge'a, jeśli istotnie o nim myśleli.

— Sprawiedliwość przede wszystkim! — odezwał się siostrzeniec Scrooge'a. — Bawimy się jego kosztem, więc byłoby niewdzięcznością nie wypić jego zdrowia. Dalej! Niech każdy weźmie szklankę wina i... zdrowie wuja Scrooge'a!

— Zdrowie wuja Scrooge'a! — zawołali wszyscy.

— Wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku staruszkowi, jakikolwiek on tam jest! — ciągnął Fred dalej. — Nie chciał przyjąć ode mnie tych życzeń, jednak ja mu je składam. Niech żyje wuj Scrooge!

Wujowi Scrooge zrobiło się tak wesoło i lekko na sercu, że byłby podziękował siostrzeńcowi i całemu towarzystwu, chociażby nieuchwytnym dla nich głosem, gdyby Duch pozwolił na to. Lecz cała scena znikła mu z oczu z ostatnimi słowami siostrzeńca, a on wraz z Duchem znów ruszyli dalej.

Widzieli wiele ciekawych obrazów, zaszli daleko, odwiedzili wiele ognisk domowych, a wszędzie Duch przynosił z sobą pogodę umysłu i szczerą radość.

Zatrzymywał się przy łóżach chorych, darząc ich zdrowiem; pocieszał wygnańców, którzy czuli się wtedy jakby w kraju rodzinnym; zrozpaczonym ciężką walką o byt ukazywał nadzieję lepszej przyszłości, godząc ich z losem; zbliżał się do nędzarzy, którzy zapominali wtedy o swoich cierpieniach.

W przytułku, szpitalu, więzieniu, w każdym schronieniu nędzy i nieszczęścia, gdyż próżny i pyszny człowiek swoją marną, niedaleko sięgającą władzą nie mógł mu tam wzbronić wstępu — wszędzie zostawiał cząstkę swoich dobrodziejstw, dając w ten sposób Scrooge'owi przykład miłosierdzia.

Była to długa noc, jeżeli to była jedna tylko noc. Lecz Scrooge miał pod tym względem wątpliwości. Zdawało mu się mianowicie, że w tym przeciągu czasu, jaki spędza z Duchem, odbyło się kilka świąt Bożego Narodzenia. Przy tym Scrooge zauważył rzecz arcydziwną: w jego własnej powierzchowności nic się nie zmieniło, gdy tymczasem Duch starzał się widocznie i to bardzo szybko. Scrooge ani jednym słowem nie napomykał o tym Duchowi, dopóki nie spostrzegł, opuściwszy jakąś zabawę dziecięcą urządzoną z powodu Bożego Narodzenia, że włosy Ducha zupełnie zbielały. Wtedy zapytał:

— Czy życie duchów jest tak krótkie?

— Moje życie na tym świecie jest bardzo krótkie — odrzekł Duch — kończy się bowiem dzisiejszej nocy.

— Dzisiejszej nocy!... — powtórzył Scrooge.

— Tak, dziś o północy. Dlatego musimy się śpieszyć. Zegary na wieżach wydzwoniły właśnie w tej chwili trzy kwadranse na dwunastą.

— Wybacz mi zbyt śmiało może pytanie — rzekł Scrooge, patrząc uparcie na dolny brzeg opończy Ducha — lecz spostrzegam pod twoją szatą coś dziwnego, co nie należy do ciebie. Czy to noga czy łapa zwierzęcia?

— Prawdopodobnie łapa, gdyż obrasta ją ciało — brzmiała smutna odpowiedź Ducha. — Patrz!

Spod opończy wysunęło się dwoje dzieci, dwoje nędznych, wstrętnych, strasznych, przerażających istot. Uklękły one u stóp Ducha, trzymając się silnie skraju jego szaty.

— Och, człowieku! Spójrz, przypatrz się im dobrze! — zawołał Duch.

Był to chłopiec i dziewczyna. Żółte, chude, obdarte, dzikie, zwilczałe te istoty czołgały się w pokorze po ziemi.

Zamiast młodocianego wdzięku, który powinien był jaśnieć w ich twarzach, zamiast zdrowego rumieńca, wyschła ręka czasu pokryła ich lica zmarszczkami, usunęła z nich krew, napiętnowała strasznym zwyrodnieniem. Tam, gdzie powinien był znajdować się wyraz anielski — tam, zdawało się, kryły się złe duchy, rzucając groźne spojrzenia. Nie można sobie wyobrazić bardziej wstrętnych, przerażających potworów.

Scrooge, blady jak płótno z przerażenia, odwrócił się, lecz obawiając się obrazić Ducha, który może był ojcem tych istot, usiłował powiedzieć, że to są przedziwne dzieci; kłamstwo jednak byłoby zbyt rażące — wybełkotał zatem tylko:

— Czy to twoje dzieci?

— To są dzieci ludzkości! — odparł Duch, spoglądając na nieszczęsne istoty z głębokim współczuciem. — Udają się one do mnie, błagając, ażebym ich bronił przed ich ojcami. To jest — dodał, wskazując chłopca — Ciemnota, a dziewczynka nosi miano Nędza. Strzeż się obu jak ognia oraz tego wszystkiego, co od nich pochodzi, a przede wszystkim strzeż się chłopca, gdyż na jego czole wypisany jest straszny wyraz: Zguba. Możesz się ich wyprzeć — ciągnął dalej Duch, podnosząc głos i wyciągając rękę w kierunku miasta — możesz oburzać się na tych, co to mówią, możesz ich spotwarzać i potępiać: ale jeżeli nie postarasz się o usunięcie tych klęsk, biada ci!

— Czyż nie istnieje pomoc dla tych stworzeń? — wyszeptał Scrooge.

— A tak — odparł Duch z ironią, przypominając mu jego własne słowa — są przecież więzienia, są domy poprawy!

Wybiła północ.

Scrooge szukał oczyma Ducha, lecz nie mógł go dojrzeć.

Z ostatnim uderzeniem godziny przypomniał sobie zapowiedź Jakuba Marleya, a wtedy, podniósłszy oczy, spostrzegł nowego Ducha. Miał on postawę majestatyczną, uroczystą, był przybrany w długi, do ziemi sięgający płaszcz z kapturem, a zbliżał się do Scrooge'a powoli, ociężale, jak tuman mgły.

IV. Ostatni duch

Gdy widmo zbliżało się do Scrooge'a, ten upadł przed nim na kolana, ponieważ zdawało mu się, że przybysz roztacza dokoła coś tajemniczego, posępnego i groźnego.

Ów długi, czarny płaszcz, podobny do całunu, spowijał szczelnie całą postać Ducha, nawet głowę i twarz, pozwalając widzieć tylko jedną wyciągniętą rękę. Gdyby nie to, trudno byłoby dojrzeć tę postać pośród ciemności nocnej.

Znalazłszy się tuż przy Duchu, Scrooge zauważył jego niezwykle wysoki wzrost i uczył, że go ogarnia niewypowiedziana trwoga. A ów przybysz tajemniczy wciąż milczał, stał w miejscu bez żadnego ruchu.

— Zdaje się, że mam przed sobą Ducha Przyszłych Wigilii? — wyszeptał nieśmiało Scrooge.

Duch nic nie odpowiedział, wciąż natomiast trzymał wyciągniętą rękę.

— Masz mi pokazać rzeczy — zapytał Scrooge — które staną się dopiero w przyszłości? Czy nie tak?

Górna część całunu sfałdowała się na chwilę, jak gdyby Duch pochylił potakująco swą głowę. Taką tylko Scrooge otrzymał odpowiedź.

Chociaż Scrooge już przywykł do obcowania z duchami, to jednak w obecności tego milczącego widma doznawał takiego strachu, że nogi się pod nim chwiały i nie mógł podążać za Duchem, który, snąc to zauważywszy, zatrzymał się nieco, jakby chcąc mu dać dojść do równowagi.

Ale to zmieszało Scrooge'a jeszcze więcej.

Za każdym razem, gdy uczuwał, że oczy widma przenikliwie spoglądają na niego spoza czarnego całunu, przejmowała go straszliwa groza i dreszcze niewypowiedzianej trwogi, tym bardziej, że pomimo wszelkich swoich wysiłków, nie mógł nic rozróżnić pod tą czarną szatą; widział tylko wciąż wyciągniętą rękę widma i niewyraźne zarysy jego postaci.

— Duchu przyszłości — zawołał wreszcie — napelniasz mnie takim przerażeniem, jakiego nie doznawałem wobec twoich poprzedników. Ponieważ jednak wierzę, iż pragniesz mego dobra i ponieważ szczerze pragnę poprawić się, stać się innym zgoła człowiekiem, dziękuję ci już z góry z całego serca i gotów jestem wszędzie iść za tobą. Dlaczego jednak milczysz, dlaczego nie przemawiasz do mnie?

Żadnej odpowiedzi.

Ręka Ducha wciąż wskazywała wprost przed siebie.

— Prowadź mnie zatem, prowadź — rzekł Scrooge. — Czas szybko uchodzi, a wiem, że jest on dla mnie bardzo drogi. Chodźmy.

Duch ruszył powoli, a Scrooge dążył za nim, ogarnięty cieniem jego postaci; zdawało mu się, że cień ów porywa go i podtrzymuje.

Nie można powiedzieć, żeby to oni weszli do miasta; raczej miasto, wyrósłszy jakby spod ziemi, otoczyło ich nagle swoim wrzaskiem i gwarem.

Mniejsza, jak się to stało, dość, że się znaleźli od razu w samym sercu Londynu, na giełdzie, wśród tłumu negocjantów, spiesźnie snujących się tam i z powrotem, brzęczących pełnymi kieszeniami złota i srebra, zbierających się w niewielkie gromadki w celu narad lub układów. Wszyscy oni byli bardzo zajęci, to spoglądali na zegarki, to, zamyśleni, bawili się kosztownymi brelokami itp. Obraz ten Scrooge znał doskonale, widywał go bardzo często.

Duch zatrzymał się przy niewielkiej gromadce kapitalistów, a Scrooge, zauważywszy, że ręka jego właśnie tę gromadkę wskazuje, przybliżył się i usłyszał następującą rozmowę:

— Nie — mówił wysoki, bardzo tłusty jegomość, z wprost potwornym podbródkiem — wiem tylko tyle, że umarł.

— Kiedy? — zapytał inny.

— Podobno wczoraj w nocy.

— I jakież powód? Co mu się stało? — zagadnął trzeci, racząc się obficie tabaką ze srebrnej tabakiery. — Ja sądziłem, że on już nigdy nie umrze.

— Bóg raczy wiedzieć, co mu było — odparł pierwszy, ziewając przeciągle.

— Ciekawa rzecz, co zrobił z pieniędzmi? — zapytał jegomość z silnie purpurową twarzą i naroślą tłuszczu na końcu nosa, przypominającą korale indyka.

— Nie wiem, doprawdy — odparł jegomość z potwornym podbródkiem. — Może zapisał swoim wspólnikom... To tylko wiem, że ja nie będę jego spadkobiercą.

Dowcip ten przyjęto wybuchem śmiechu.

— Zdaje mi się — ciągnął dalej jegomość z potwornym podbródkiem — że będzie miał marny pogrzeb. Jestem pewien, że przystrojenia kościoła i karety żałobne niedrogo będą kosztowały, bo nie znam nikogo, kto by chciał pójść za jego trumną. A gdybyśmy tak bez zaproszenia odprowadzili go do grobu?

— Jeżeli nam wyprawią porządną stypę, to ja nie mam nic przeciwko temu — wtrącił jegomość w okularach. — Za takie poświęcenie coś się przecież należy.

Gromadka znów się roześmiała.

— Jak widzę, to ja jestem najwięcej bezinteresowny — odezwał się jegomość z potwornym podbródkiem. — Nigdy nie chodzę na cmentarz i nie ubiegam się o stypy, ale jeżeli który z was wybierze się na ten pogrzeb, ja chętnie towarzyszyć mu będę. Prawdę mówiąc, poniekąd sympatyzowaliśmy z sobą, tj. ja z nieboszczykiem. Przy spotkaniu zawsze wymienialiśmy wzajem choć kilka słów. No, tymczasem do widzenia, moi panowie.

Gromadka rozeszła się i zniknęła w tłumie, a Scrooge, który poznał wszystkich rozmawiających, zwrócił oczy na Ducha, jak gdyby oczekując od niego wyjaśnienia tego, co usłyszał.

Zamiast odpowiedzi, Duch pomknął na ulicę i palcem wskazał dwóch rozmawiających jegomościów.

Scrooge znów nadstawił uszu w nadziei, że teraz zagadka się rozwiąże.

Dwóch jegomościów wskazanych przez Ducha znał również dobrze. Byli to bardzo bogaci i bardzo wpływowi giełdjarze. Scrooge usilnie starał się pozyskać ich zaufanie i szacunek, oczywiście w znaczeniu czysto giełdowym.

- Witam pana — mówił jeden z nich — jakże zdrowie?
- Niezgorzej — odparł zapytany — a pańskie?
- Wcale dobrze. A tego starego kutwę powołano nareszcie do obrachunku.
- Słyszałem o tym. Ale też nieznośne zimno dziś mamy...
- Przecież to pora po temu... święta Bożego Narodzenia. Pan nie jeździsz na łyżwach?
- Co mi po tym? Mam co innego na głowie. Do widzenia.
- Do widzenia.

Ani słowa więcej. Takie było ich przywitanie, rozmowa i pożegnanie.

Scrooge'a z początku dziwiło to, że Duch przywiązuje wagę do tak w gruncie rzeczy błałych rozmów, lecz przeczuwając, że czyni to nie bez celu, zaczął się nad nimi zastanawiać.

Nie mógł przypuścić, żeby rozmowy te dotyczyły Jakuba Marleya, jego dawnego współnika, chociażby z tego tylko względu, że Marley umarł już stosunkowo dawno, więc śmierć jego należała do przeszłości, a Duch przecież miał związek jedynie z przyszłością.

Na razie Scrooge nie mógł w żaden sposób wymiarkować, o którym z jego znajomych rozmawiano. Nie wątpił jednak, że kogokolwiek dotyczyły te rozmowy, w każdym razie zawierały naukę mającą za cel jego dobro, którą on powinien przyjąć z uwagą i wdzięcznością. Doszedłszy do tego przekonania, postanowił jak najpilniej przysłuchiwać się wszystkiemu, co tylko mu w uszy wpadnie, a przede wszystkim obserwować bacznie swoją postać, jeśli się ona zjawi, przewidując, że zachowanie się tej postaci, która będzie przedstawiała jego samego w przyszłości, da mu klucz do rozwiązania dręczących go zagadnień. Zaczął więc szukać swojej postaci.

Któż jednak zajął uprzywilejowane jego miejsce na giełdzie? Scrooge nie znał tego człowieka. Rozglądając się na wszystkie strony, nie mógł znaleźć siebie, chociaż zegar giełdowy wskazywał właśnie godzinę, w której zwykle tu przebywał. Ta okoliczność zresztą nie zaniepokoiła go nazbyt, gdyż już po odwiedzinach pierwszego widma postanowił w głębi duszy zmienić dotychczasowy sposób życia, przypuszczał więc teraz, że jego nieobecność na giełdzie w tym okresie przyszłości stwierdza, iż w postanowieniu swoim wytrwał.

Duch, wciąż posępny i nieruchomy, stał przy nim z wyciągniętą ręką. Ocknąwszy się z zamyślenia, Scrooge zauważył, że Duch nie spuszcza z niego oczu, a to spostrzeżenie znów przejęło go dreszczem od stóp do głowy.

Opuściwszy gwarną część miasta, zapuścili się w jedną z jego oddalonych, ubogich dzielnic, gdzie Scrooge nigdy nie zaglądał, wiedząc, że ludność jej miała jak najgorszą opinię. Składała się ona z ulic ciemnych, pełnych błota; domy i sklepy były tu nędzne, mieszkańcy bosi, półnędzy, pijani, budzili wstręt i obrzydzenie. Podwórza i korytarze nieprawdopodobnie wąskie, zagnojone, wydawały zabijający zaduch, dostrajały się do zezwierzęconej ludności, która tu się roiła. W ogóle dzielnica ta była stekiem błota, nędzy i zbrodni.

W tej oto ohydnej dzielnicy znajdował się nędzny sklepik, w którym sprzedawano stare żelastwo, gałgany, stare butelki, kości, resztki wczorajszych marnych obiadów zebranych na brudnych talerzach. Na podłodze wewnątrz sklepu piętrzyły się gromady zardzewiałych kluczy, gwoździ, łańcuchów, zawiasów, pilników, talerzy wag, gwichtów — słowem: najprzeróżniejsze odpadki żelazne. Dziwne i zapewne straszne tajemnice, których zbadania nie każdy odważyłby się podjąć, ukrywały się pod stosami cuchnących łachmanów, odpadków tłuszczu i kości.

Przy piecu, w którym spalano szczątki zgniłego drzewa, skleconym niezdarnie z kawałków starych cegieł, siedział wśród swoich towarów siedemdziesięcioletni, białowłosy łotr. Od ulicznego chłodu zasłonił się firanką różnorodnych, przesiąkniętych tłuszczem gałganów, które rozwiesił na sznurku i rozkoszował się samotnością, paląc fajkę. Scrooge i Duch zjawili się przy nim w tej chwili właśnie, kiedy do sklepu weszła jakaś kobieta, dźwigając ciężki tłumok. Tuż za nią, także z tłumokiem, weszła druga, a za tą znów mężczyzna w czarnym, mocno spłowiałym ubraniu. Wszyscy troje niezmiernie się zdziwili, poznawszy się wzajem.

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie owa trójka wybuchnęła głośnym śmiechem.

— To dopiero zdarzenie! — zawołała kobieta, która najpierw przysła. — Trzeba jednak utrzymać porządek. Niech posługaczka najpierw załatwi interes, potem praczka, a w końcu przedsiębiorca pogrzebowy. No, patrzajże Joe! Czy to nie rzecz szczególna? Zeszliśmy się tu, jak gdybyśmy się umówili. Nieprawda?

— W każdym razie nie mogliście wybrać lepszego miejsca na taką schadzkę — rzekł Joe, wyjmując z ust fajkę. — Chodźcież do salonu. Znamy się przecież wszyscy. Zaczekajcież, tylko drzwi zamknę. Do licha! Jakże one skrzypią... Sądzę, że w całym moim składzie nie można byłoby znaleźć równie zardzewiałych i skrzypiących zawiasów jak zawiasy tych drzwi, i równie starych kości jak moje właśnie. Tak, tak.

Wszystko to jest dobrane, wszystko odpowiada swemu stanowisku i przeznaczeniu. Ale chodźcie do salonu.

Ów „salon” oddzielony był od sklepu rodzajem złachmanionego parawanu.

Stary przekupień poprawił płonący ogień kawałkiem żelaza, które niegdyś stanowiło część ozdobnej poręczy schodów, usunął kopeć z lampy — była bowiem wtedy noc — cybuchem swej fajki, którą następnie znów wsunął w usta.

Podczas gdy się tak krzątał, kobieta, która pierwsza weszła, rzuciła na podłogę swój tłumok, usiadła w pozie bardzo swobodnej na stołku i splótłszy dłonie na kolanie, spoglądała na dwójkę jej towarzyszy, jakby wzywając ich, żeby uczynili to samo.

— Więc cóż? Przecież wszystko w porządku, moja pani Wilber? — odezwała się po chwili. — Jestem zdania, że każdy człowiek powinien myśleć o sobie. On przez całe życie tym tylko się zajmował.

— Święta prawda! — odparła praczka. — Nikt na świecie nie dbał tak o siebie jak on. Nikt na świecie.

— Dlaczegoż więc pani siedzisz, wytrzeszczywszy oczy, jakbyś się czego bała? Powiadam, że wszystko w porządku i koniec. Wilki przecież nie rzucają się na siebie, a kruk krukowi oka nie wykole. Byłoby całkiem głupio, gdybyśmy mieli przeszkadzać sobie wzajem w interesach.

— Zapewne! Zapewne! — potaknęła pani Wilber.

— W takim razie wszystko w porządku — prawiała posługaczka. — Nie szukajmy dnia wczorajszego, to do niczego nie doprowadzi. Zresztą, czego się tu obawiać? O co? Trochę drobiazgów nikogo nie zuboży, a nieboszczyk się o nie chyba nie upomni...

— Zapewne! Zapewne! — znów potwierdziła pani Wilber, uśmiechając się.

— Gdyby ten podły kutwa chciał ochronić swoje rzeczy od zmarnowania po jego śmierci — mówiła posługaczka — mógł uczynić to bardzo łatwo, postępując jak wszyscy uczciwi ludzie. Dlaczegoż nie postarał się, żeby w chwili śmierci mieć przy sobie jakąś dobrą duszę, która by się nimi zaopiekowała? Nie chciał tego, nie postarał się o to, więc też zginął marnie w kącie, gorzej psa.

— Święta prawda! — potwierdziła pani Wilber. — Co posiał, to i zebrał. Święta prawda.

— Jeszcze bym więcej o nim powiedziała, gdybym tylko miała czas pomyśleć o czym innym, a nie o tym, z czym tu przyszłam. No, Joe, rozwiąż tłumok, powiedz, co on wart. Bądź zupełnie szczery, o to cię proszę. Wcale się nie obawiam zacząć pierwsza...

Owszem, niech oni wiedzą, co tu jest. Wszyscy troje dobrze wiemy, po cośmy tutaj przyszli. Grzechu w tym nie ma. Dalej, rozwiąż tłumok, Joe.

Teraz nastąpiły prawdziwe chińskie ceremonie: towarzysze jej pragnęli okazać, iż są dobrze wychowani, dlatego też przedsiębiorca pogrzebowy zdecydował się pierwszy przedstawić swoje łupy.

Nie były one znaczne: kilka pieczętek, ołówki w futerale, para spinek i tania szpilka do spinania chustki pod szyją. Tyle tylko.

Joe każdy przedmiot bardzo skrupulatnie badał, a nawet obwąchiwał, kreślił na ścianie kredą cenę każdego, a widząc, że nic więcej nie ma, zsumował nakreślone liczby.

— Tyle wynosi twój rachunek, kochany przyjacielu — rzekł do przedsiębiorcy pogrzebowego. — Nie dam ani sześciu pensów więcej, choćby mnie smażyono na wolnym ogniu. Cóż tam więcej?

Przyszła kolej na panią Wilber.

W jej tłumoku znajdowały się prześcieradła, serwety i trochę ubrania; dalej staroświeckie, srebrne łyżeczki do herbaty, szczypce do cukru i trochę obuwia.

Jej rachunek również został zapisany na ścianie.

— Zawsze jestem względny dla dam, zawsze im więcej płacę. Ta słabość nawet mnie rujnuje — wyrzekał stary Joe. — Twój rachunek, pani Wilber. Jeżeli zażądasz choć jeden penny więcej, jeżeli zechcesz się targować, to gotów jestem cofnąć moją hojność i stracić pół korony.

— A teraz, Joe, zajrzyj do mojego tłumoka — rzekła posługaczka.

Joe ukląkł na ziemi dla większej wygody i rozmotawszy nieskończoną ilość supłów, wydobył najprzód ogromny zwój ciemnej materii.

— Co to takiego? — mruknął pod nosem. — Kotary od łóżka?

— Nie inaczej — odparła, śmiejąc się, posługaczka. — To są kotary od łóżka.

— Czyżbyś, kochana przyjaciółko, ściągnęła to wszystko: firanki, kółka, chwasty, słowem, całe urządzenie, wtedy jeszcze, kiedy on leżał na łóżku? — zapytał Joe.

— Właśnie wtedy — odparła posługaczka. — Czy to nie była pora po temu?

— W tym razie muszę ci oddać sprawiedliwość, droga przyjaciółko — rzekł Joe. — Stanowczo urodziłaś się w czepku i jesteś na drodze do zrobienia majątku.

— Zapewniam cię, ojcie Joe — rzekła poważnie posługaczka — że wobec takiego człowieka uważałabym wszelkie skrupuły za śmieszność. Tak jest, uważałabym się za bardzo naiwną, gdybym się wzdragała przywłaszczyć sobie, co tylko pod rękę wpadnie. Ale ostrożnie z lampą, Joe — dodała — zatłuszcicie kołdrę oliwą.

— To jego kołdra? — zapytał Joe.

— A czyjażby? Nie zaziębi się przecież bez niej, nie dostanie kataru.

— Tu nie o to chodzi — przerwał Joe. — Obawiam się tylko, czy on nie umarł na jaką zaraźliwą chorobę...

— Bądź spokojny, ojcie Joe — zapewniła go posługaczka. — Wcale nie byłam tak spragniona jego towarzystwa, żebym się miała narazić na niebezpieczeństwo. Nie kręciłabym się przy nim, gdyby go toczyła jaka zaraza. Miłe mi jeszcze życie. Przypatrzcie się tej koszuli, ojcie Joe, przypatrzcie się dobrze tej koszuli. Zaręczam, że możecie całkiem wypatrzyć oczy, a nie znajdziecie ani jednej dziurki, ani nawet przetartego punktu. Jest to najlepsza koszula, jaką nieboszczyk posiadał i trzeba przyznać, że jeszcze bardzo dobra. Szczęściem, że ja tam byłam, bo inaczej zmarnowaliby ją.

— Jakimże sposobem? — zapytał rozciekawiony Joe.

— Włożyliby ją na nieboszczyka i pochowaliby go w niej — odparła posługaczka, śmiejąc się. — Znalazł się nawet jakiś głupiec, co ją już włożył na trupa; ale spostrzegłam to w samą porę i zdjęłam z niego tę piękną sztukę białego, czystego płótna. A w perkalu pójść do grobu nie łaska? Jeżeli perkał nie jest właściwy do tego celu, to doprawdy nie wiem, na co on się zdać może? Zdaje mi się, że perkał jest najstosowniejszy dla nieboszczyków, a szczególnie dla tego starego sknery.

Scrooge z przerażeniem przysłuchiwał się tej rozmowie. Ludzie ci, siedzący dokoła swej zdobyczy, przyciśnięci do siebie, sprawiali wrażenie zwierząt drapieżnych, budzili w nim taki wstręt i taką nienawiść jak bezwstydne demony prowadzące targ o świeżego trupa.

— Ha, ha, ha! — rozprawiała w dalszym ciągu posługaczka, zaśmiewając się cynicznie, podczas gdy Joe, wydobywszy z ukrycia flanelowy worek z pieniędzmi, odliczał każdemu z tej trójki przypadającą należność. — To była rzecz prawdziwie dobra, jedynie dobra, na jaką się zdobył przez całe życie. Nikt temu nie zaprzeczy. Za życia wszystkich odtrącał od siebie, żebyśmy mogli pożywić się trochę po jego śmierci. Ha, ha, ha!

— Duchu — szepnął Scrooge, drżąc jak w febrze. — Zrozumiałem, wszystko zrozumiałem. Los tego nieszczęśliwego może być moim losem. Do takiego końca prowadzi takie życie, jakie ja pędzę... Boże miłosierny, co ja widzę?!

Przy tym okrzyku cofnął się przerażony.

Obraz zmienił się nagle i Scrooge znalazł się tuż przy łóżku bez kotar, na którym, pod dziurawym, brudnym prześcieradłem, leżało coś, a chociaż się nie poruszało, jednak dosadnie, w sposób straszny wyjaśniało to wszystko, co przed chwilą widział i słyszał.

Pokój był ciemny — tak ciemny, że nie można było dokładnie widzieć, co się w nim znajduje, chociaż Scrooge, pobudzony jakimś wewnętrznym nakazem, rozglądał się z ciekawością na wszystkie strony. Słabe światło przedostające się z zewnątrz padało prosto na łóżko, gdzie leżał trup tego ograbionego, zapomnianego, opuszczonego przez wszystkich człowieka.

Scrooge spojrzał na Ducha; ręka jego wskazywała głowę trupa. Ciało było tak niedbale okryte, że wystarczyło jedno dotknięcie, aby je odsłonić. Scrooge chciał to uczynić, pragnął zobaczyć twarz nieboszczyka, ale obawiał się, sił mu brakło.

— O zimna, lodowata, sztywna, straszna śmierci! Możesz tu sobie wznieść tron i otoczyć go wszystkimi okropnościami, jakimi rozporządzasz, gdyż tu jest twoje państwo... Lecz ty nie jesteś zdolna skazić jednego włosa na głowie miłowanej, czczonej i uwielbianej; nie możesz skazić ani jednego rysu szlachetnej twarzy. Cóż stąd, że ręka takiego człowieka stężeje i opadnie bezwładna? Cóż stąd, że jego krew stężeje i serce bić przestanie? Ta ręka była otwarta, hojna i dobroczynna; to serce czuło i kochało gorąco, rade było wszystkie niedole ogarnąć i ukoić. Uderzaj, nieubłagana śmierci, wymierzaj ciosy — będą one bezsilne. Zobaczysz, że z rany przez ciebie zadanej wytrysną dobre, zacne czyny, nasiona wiecznego życia!

Nikt tych słów nie wymówił, a jednak Scrooge dokładnie je słyszał, gdy patrzył na leżącego na łóżku nieboszczyka.

„Gdyby ten człowiek ożył — myślał Scrooge — gdyby mógł rozpocząć nowe życie, co by powiedział o swojej przeszłości? Skąpstwo, chciwość, nieczułość, pragnienie wzbogacenia się... wszystko to sprawiło tak straszny koniec!”

Ten trup zastygły leży pod złachmanionym prześcieradłem, opuszczony w tym ponurym i pustym domu i nie ma na świecie człowieka, który by powiedział:

— On wyrządził mi kiedyś przysługę, powiedział mi dobre słowo, kiedy potrzebowałem pociechy, teraz wywdzięczę mu się za to.

Kot tylko drapał do drzwi i gdzieś pod podłogą gospodarowały myszy. Czego one chcą w pokoju zmarłego? Dlaczego mącą ciszę, dlaczego tak hałasują? Scrooge nie śmiał roztrząsać tych pytań.

— Duchu — rzekł w końcu — to straszne miejsce. Opuściwszy je, nigdy nie zapomnę nauki, jaką tu otrzymałem. Chodźmy stąd! Chodźmy prędzej!

Lecz Duch wciąż ukazywał mu ręką głowę trupa.

— Wiem, Duchu, czego żadasz ode mnie — szepnął Scrooge — lecz nie mogę tego spełnić, sił mi brak!

Zdawało się, że Duch spojrzał na niego bacznie spod kaptura.

— O, Duchu! — zawołał Scrooge głosem złamanym. — Jeżeli istnieje chociażby jeden człowiek, którego śmierć tego nieszczęśnika zmartwiła, to pokaż mi go, błagam cię!

Duch rozpostarł nad nim swój całun, jak gdyby skrzydła, po chwili zaś opuścił go i naraz Scrooge ujrzał jasny, słoneczny pokój, w którym znajdowała się matka z dziećmi.

Matka oczekiwała kogoś z wielkim niepokojem; chodziła od okna do okna, wzdrygała się przy najmniejszym szeleście, wyglądała na ulicę, spoglądała na zegar ścienny, próbowała na próżno zająć się robotą i widocznie z trudnością znosiła krzyki rozbawionych dzieci.

Wreszcie usłyszała tak dawno oczekiwaną stuknięcie we drzwi.

Pobiegła, by je otworzyć.

Był to jej mąż, człowiek jeszcze młody, lecz już znużony i sterany ciężkim życiem. Twarz jego miała w tej chwili dziwny wyraz: malowała się na niej radość, której się widocznie wstydził i którą chciał ukryć.

Zasiedli do stołu, aby spożyć obiad przygrzewany na kominie, a wówczas żona zapytała nieśmiało:

— Jakież nowiny?

On milczał — wahał się z odpowiedzią.

— Dobrze czy złe? — nagliła delikatnie żona.

— Złe — odparł.

— Więc jesteśmy ostatecznie zrujnowani?

— Nie, Karolino, jest jeszcze nadzieja.

— Zapewne w takim razie, jeżeli on zechce poczekać? — rzekła ona. — Ale byłby to cud prawdziwy, po nim czegoś podobnego spodziewać się nie można.

— On nie może już nic zrobić — zauważył mąż — on umarł.

Żona była dobrą, kochającą, zacną kobietą; dość było spojrzeć na nią, żeby nabrać tego przekonania; mimo to wiadomość udzielona przez męża przyniosła jej taką ulgę, że podziękowała za nią Bogu, chociaż zaraz ogarnął ją żal i wstyd, że się poddała samolubnemu uczuciu. W każdym razie pierwsze jej wrażenie było radosne.

— Więc — rzekła do męża — owa na pół pijana baba, o której wspomniałam ci wczoraj, powiedziała mi prawdę, kiedym usiłowała dostać się do niego, żeby wyprosić chociaż tydzień zwłoki. On istotnie umarł. A mnie się zdawało, że umyślnie skłamała, żeby mnie się pozbyć.

— Jak myślisz? — zapytał mąż. — Kto teraz przejmie nasz dług?

— Nie wiem. W każdym razie, zanim się ureguje prawa spadku po nim, znajdziemy potrzebne pieniądze. A chociażbyśmy nawet ich nie znaleźli, to musiałyby nas prześladować szczególnie fatalność, gdyby jego spadkobierca miał się okazać równie nieludzki jak on. Możemy zatem spać spokojnie.

Jakoż wielki ciężar spadł im z serca. Nawet twarzyczki dzieci przysłuchujących się rozmowie rodziców, której dokładnie nie rozumiały, zajaśniały radością. Śmierć tego człowieka wniosła odrobinę szczęścia do biednego domu. Jedynym wrażeniem dodatnim, jakie wywołał ów zgon, wrażeniem, które Duch pozwolił stwierdzić Scrooge'owi naocznie, była radość gnębionych przez nieboszczyka ludzi.

— Duchu — odezwał się Scrooge — pokaż mi śmierć ściśle związaną z miłością; inaczej ów pokój straszny, któryśmy niedawno opuścili, wciąż będzie gnębił myśl moją.

Duch powiodł go przez kilka dobrze mu znanych ulic. W drodze Scrooge pilnie oglądał się na wszystkie strony w nadziei, że zobaczy swą postać, ale daremnie.

Weszli do domu biednego Boba Cratchita, do tego samego mieszkania, które Scrooge odwiedził tak niedawno. Zastali tam matkę z dziećmi.

W pokoju panowała cisza. Zwykle swawolne maleństwa, braciszek i siostra, siedzieli teraz cichutko w kącie pokoju, nie spuszczając oczu z Piotra, schylonego nad otwartą księgą. Matka i starsza córka szyły.

„On zaś wziął dziecko i postawił wśród nich”.

Kto wypowiedział te słowa? Przecież to nie sen. Scrooge słyszał je wyraźnie. Widocznie Piotr je odczytał głośno w chwili, gdy Duch ze Scroogiem przestąpili próg pokoju. Lecz dlaczego chłopiec przerwał tak nagle czytanie?

Matka położyła robotę na stole i zakryła twarz dłońmi.

— Oczy mnie bolą od koloru tej materii... — szepnęła.

Od koloru materii? O, biedny, maleńki Tim!...

— Już mi lepiej — rzekła po chwili. — Prawdopodobnie robota przy świetle męczy moje oczy, a ja nie życzę sobie, żeby ojciec to zauważył. On zapewne niedługo wróci. Powinien już być w domu.

— To prawda — potwierdził Piotr, zamykając księgę. — Czyś nie zauważyła, mamó, że ojciec teraz chodzi znacznie wolniej niż dawniej?

Zapanowała jakaś przykra, gnębiąca cisza. Wreszcie matka odezwała się spokojnie, ze swobodą, głosem, który raz tylko zadrżał:

— A ja pamiętam, jak chodził szybko, nawet bardzo szybko z... maleńkim Timem na plecach...

— I ja także — szepnął Piotr.

Wszyscy kolejno powtórzyli:

— I ja także.

— Bo przecież Tim nie był ciężki — rzekła matka, pochylając się nad robotą. — Przy tym ojciec go tak kochał, tak bardzo kochał, że nie czuł nawet jego ciężaru. Ale zdaje mi się, że ojciec wraca...

To rzekłszy, pani Cratchit szybko pobiegła na spotkanie męża.

Mały Bob wszedł do pokoju. Szyję miał owiniętą szalikiem wełnianym, a bardzo go ten biedak potrzebował. Herbata już się grzała dla niego i wszyscy starali się mu usłużyć. Dwoje najmłodszych dzieci wdrapało się na kolana ojca, przytuliło swoje twarzą do jego twarzy, jak gdyby chciały powiedzieć:

„Nie myśl już o tym, tatusiu! Nie martw się!...”

Bob wesoło bawił się z nimi, dla każdego zresztą miał dobre słowo. Spostrzegłszy rozłożoną na stole robotę, chwalił pilność i zręczność żony i córek.

— Ależ wy to skończycie przed niedzielą — zauważył. — Dzielne z was robotnice.

— Niedziela? — powtórzyła żona. — Więc tam dziś byłeś, Robercie?

— Tak, moja droga — odpowiedział Bob. — I bardzo żałowałem, żeś nie poszła ze mną. Ucieszyłabyś się, widząc, jak tam się wszystko zieleni. Ale przecież bywasz tam często, więc sama się przekonasz, jak tam pięknie. Co do mnie, przyrzekłem go odwiedzać w każdą niedzielę... Moje maleństwo! Moja droga, ukochana dziecina!

Przy tych słowach Bob się rozplakał. Tak kochał Małego Tima, że na jego wspomnienie nie mógł się powstrzymać od łez.

Wstał i poszedł do pokoju na górze, oświetlonego i przyozdobionego zielenią jak na dzień wigilijny. Przy łóżeczku dziecka stało krzeselko i znać było, że niedawno jeszcze ktoś na nim siedział. Teraz Bob na nim usiadł i puścił wodze myślom bolesnym. Kiedy się uspokoił, ucałował łóżeczko, twarz jego przybrała wyraz spokojny człowieka pogodzonego z ciężkim ciosem. Westchnął raz jeszcze i wrócił na dół już w innym usposobieniu.

Teraz wszyscy usiedli dokoła kominka i zaczęli gwarzyć serdecznie. Matka i córki wciąż przy tym pracowały. Bob z ożywieniem opowiadał o szczególnej życzliwości, jaką mu okazał siostrzeniec Scrooge'a, którego spotkał na ulicy. Widział go tylko raz jeden, i to przelotnie, tymczasem dziś, gdy się spotkali, siostrzeniec Scrooge'a przywitał go serdecznie, a zauważywszy, że Bob ma niezwykle wyraz twarzy, zapytał go, czy mu się nie przytrafiło co złego...

— Oczywiście — mówił Bob — nie mogłem ukryć tego przed nim. To taki miły, dobry człowiek. Czy uwierzysz, droga żono, że bardzo go to obeszło. Powiedział mi: „Szczерze panu współczuję, panie Cratchit i proszę oświadczyć również moje serdeczne ubolewanie zacnej małżonce”. Nawiasem mówiąc, nie pojmuję: skąd on wie o tym?

— O czym, mój drogi?

— Żeś ty zająca i dobra kobieta.

— Wszyscy o tym wiedzą! — zawołał Piotr.

— Dobrze powiedziane, mój chłopcze — pochwalił go ojciec. — Mam nadzieję, że tak jest istotnie, a nawet jestem o tym przekonany. „Szczерze wam obojgu współczuję, moi państwo”, powtórzył siostrzeniec Scrooge'a i dając mi swój bilet, nadmienił: „Oto mój bilet. Może będę mógł panu być w czymkolwiek użyteczny, proszę zwrócić się pan do mnie z całą otwartością”. Byłem wprost oczarowany, nie jego propozycją, nie myślą o tym, że może nam istotnie pomóc, lecz jego uprzejmością. Wielce mnie tym ujął. Mógłby kto pomyśleć, że znał naszego Małego Tima i że żałuje go na równi z nami.

— Jestem pewna, że ma dobre serce — rzekła pani Cratchit.

— Upewniłabyś się jeszcze więcej, gdybyś go widziała i mówiła z nim tak, jak ja — podchwycił Bob. — Wcale bym się nie dziwił (uważajcie, co powiem!), gdyby Piotr przy jego poparciu otrzymał lepsze miejsce.

— Słyszysz, Piotrze? — rzekła pani Cratchit.

— A wtedy — zawołała jedna z dziewcząt — Piotr się ożeni i zamieszka u siebie!

— Co ty wygadujesz... — mruknął Piotr niby z oburzeniem, z oczu jednak jego znać było, że mu się ta myśl uśmiechała.

— Nie ma w tym nic nieprawdopodobnego — rzekł Bob — chociaż, mówiąc prawdę, masz jeszcze dosyć na to czasu, mój drogi. Lecz jeżeli kiedykolwiek przyjdzie nam się rozstać z sobą, jestem przekonany, że żaden z nas nie zapomni Małego Tima. Prawda, że wszyscy będziemy zawsze pamiętali to pierwsze rozstanie?

— Zawsze, ojciec! — odpowiedzieli wszyscy.

— Wiem o tym, moi drodzy — ciągnął Bob — jak również i o tym, że pamiętając, jak on był dobry, kochający, cierpliwy i łagodny, chociaż tak mały, tak maleńki, nigdy żadna waśń nie wyniknie wśród nas, gdyż inaczej nie moglibyśmy o nim pamiętać.

— Z pewnością, ojcie! — znów odpowiedzieli wszyscy.

— Dziękuję wam — rzekł Bob. — Jestem wśród was bardzo, bardzo szczęśliwy!

Pani Cratchit ucałowała go, potem ucałowały go starsze córki, z kolei dwoje najmłodszych dzieci uczyniło to samo, wreszcie Piotr uściśnął jego rękę.

Nad tą zacną rodziną unosił się jak błogosławieństwo Boże duch maleńkiego Tima.

— Duchu — odezwał się Scrooge — coś mi mówi, że się chwila naszego rozstania zbliża. Czuję ją, chociaż nie wiem, jak to nastąpi. Powiedzże mi teraz, co to był za człowiek, któregośmy widzieli na śmiertelnym łożu?

Duch Przyszłych Wigilii poprowadził go w taki sam sposób, jak go prowadził do dzielnicy giełdowej. Lecz teraz posuwał się bardzo szybko, nie zatrzymując się nigdzie, jak gdyby pragnął jak najprędzej stanąć u celu podróży. Ten pośpiech niepokoił Scrooge'a. Zaczął prosić Ducha, ażeby się chociaż na chwilę zatrzymał.

— Na tej ulicy — rzekł — przez którą tak błyskawicznie pędzimy, znajduje się mój kantor. W tej dzielnicy ogniskują się wszystkie moje interesy. Oto widzę już dom, w którym się mój kantor mieści. Pozwól mi zobaczyć, co się tam będzie działo w przyszłości.

Duch zatrzymał się, lecz wskazywał ręką w inną stronę.

— Przecież mój dom jest tutaj? — zauważył Scrooge. — Dlaczego wskazujesz inne miejsce i chcesz mnie tam prowadzić?

Nieubłagany Duch wciąż trzymał wyciągniętą wskazującą ręką w innym kierunku.

Scrooge pobiegł do okna swego kantoru i zaczął się chciwie rozpatrywać w jego wnętrzu. Lokal i teraz był zajęty przez kantor, ale już nie jego. Umeblowanie się zmieniło i ktoś nieznany siedział na miejscu szefa. A ręka Ducha nie zmieniała kierunku.

Scrooge wrócił do Ducha i udał się posłusznie za nim, starając się rozwiązać w myśli pytanie: dlaczego nie zobaczył siebie w kantorze i co się z nim stać mogło?

Nagle zatrzymali się przed żelaznymi sztachetami, wśród których znajdowała się wielka brama. Przed wejściem poza bramę Scrooge uważnie przyjrzał się miejscu.

Był to cmentarz.

Tu, pod ziemią, w głębokości kilku łokci leżał ten człowiek nieszczęsny, którego nazwisko miał niebawem poznać.

Cmentarz otaczało nieskończone mnóstwo ścian domów, a całą jego przestrzeń zarastały trawy i chwasty — rośliny śmierci, a nie życia — które gniły wskutek zbyt obfitego pokarmu.

Duch, stojąc wśród mogił, wskazywał na jedną z nich.

Scrooge, drżąc cały, zbliżył się do niej.

Duch pozornie wcale się nie zmienił, lecz Scrooge'owi zdawało się, iż w jego ponurej, majestatycznej postaci spostrzega coś nowego, co go do głębi poruszało...

— Zanim zbliżę się do grobowca, który mi wskazujesz — rzekł — odpowiedz mi na jedno, jedyne pytanie. Chcę mianowicie wiedzieć, czy to, co widzę, jest obrazem tego, co musi się spełnić, czy też tego, co może nastąpić?

Zamiast odpowiedzi, Duch dotknął ręką mogiły, przy której stali.

— Zapewne — mówił Scrooge dalej — człowiek w życiu musi dążyć tą drogą, jaką sam obrał i dojść do pewnych właściwych rezultatów. Ale jeżeli człowiek opuści dawną swoją drogę i zwróci się na inną, to przecież w końcu osiągnie inny rezultat? Powiedz, czy takie znaczenie mają obrazy, jakie mi ukazałeś?

Duch wciąż stał nieruchomy, wskazując grobowiec.

Scrooge, drżąc całym ciałem ze strachu, niemal pełznąc, przysunął się do grobowca i przeczytał na nim swoje własne nazwisko:

Ebenezer Scrooge

— Więc to samego siebie widziałem?! — zawołał, padając na kolana.

Teraz palec Ducha przesunął się raz po raz od jego osoby do mogiły.

— Nie, Duchu! O, nie! — zawołał Scrooge.

Duch wciąż powtarzał ten sam ruch ręką.

— Duchu! — krzyknął Scrooge, chwytając płaszcz widma. — Wysłuchaj mnie... Ja już nie jestem tym człowiekiem, jakim byłem do chwili spotkania się z tobą... Nie jestem i nie będę przenigdy... Dlaczego ukazałeś mi tak straszne rzeczy? Czy dla mnie nie ma już ratunku?

Ręka Ducha po raz pierwszy zadrżała.

— O, dobry Duchu! — błagał Scrooge, leżąc u stóp widma, z twarzą zwróconą do ziemi. — Zmiłuj się nade mną, ratuj mnie! Powiedz, że zmieniając życie, mogę jeszcze zmienić obrazy, jakie mi ukazałeś...

Teraz ręka widma poruszyła się, jakby przytakująco.

— Odtąd z całej duszy będę czcił święta Bożego Narodzenia — przyrzekał ze skrucą Scrooge — i przez cały rok będę tych dni oczekiwał, przygotowując się do nich po

chrześcijańsku. Będę zawsze pamiętał o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Wszystkie trzy Duchy, które mnie nawiedziły, żyć będą we mnie, gdyż nie zapomnę otrzymanych od nich nauk. O, Duchu, powiedz, że mogę zetrzeć napis z tego grobowca...

Z rozpaczą chwycił dłoń Ducha.

Duch usiłował ją wydrzeć, ale Scrooge trzymał ją z całej mocy. Duch jednak, będąc silniejszy od niego, wyrwał ją.

Scrooge wzniósł raz jeszcze dłonie, zamierzając znów błagać o zmianę swego losu, gdy nagle zauważył, że płaszcz i kaptur widma zaczęły się zmniejszać, kurczyć, aż wreszcie całe zjawisko zmieniło się w słupek jego własnego łóżka...

V. Koniec historii

Tak, był to rzeczywiście słupek jego własnego łóżka.

Leżał we własnym łóżku, we własnym pokoju.

A ucieszyło go bardziej jeszcze i prawdziwie uszczęśliwiło to przekonanie, ta pewność, że posiada swój własny czas i że wystarczy mu go na gruntowne zreformowanie swego życia.

— Będę żył, pamiętając o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości! — przyrzekał sobie, wstając. — Duchy trzech czasów pokonały mnie zupełnie. O, Jakubie Marley! Cześć i błogosławieństwo Niebiosom i wigilii Bożego Narodzenia za ich dobrodziejstwo! Składam im dzięki na kolanach, stary Jakubie Marley; tak jest, na kolanach!

Był tak podniecony i tak ożywiony dobrymi zamiarami, że jego słaby, drżący głos nie odpowiadał sile przepełniających go uczuć. Łkał gwałtownie, a twarz jego zlewały obfite strumienie łez.

— Są, są na swoim miejscu! — zawołał, całując kotary łóżka. — Nikt ich nie zerwał, nikt nie naruszył ich pierścieni. Są tutaj i ja jestem tutaj, a obrazy tego, co się zdarzyć mogło, mogą być rozwiane. Ja wiem, że one znikną, jestem o tym przekonany.

Drżące jego ze wzruszenia ręce nie mogły sobie poradzić z ubraniem; wdziewał rzeczy na wywrót, szarpał je, upuszczał, słowem, wyprawiał z nimi istne awantury.

— Nie pojmuję doprawdy, co się ze mną dzieje! — mówił, śmiejąc się i płacząc jednocześnie, przy czym wdziewał skarpetki na ręce, stając się podobny do statui Laokoona opasanego węzami. — Jestem lekki jak piórko; szczęśliwy jak anioł; wesoły

jak student; oszołomiony jak pijak! Życzę wszystkim, całemu światu, wesołych świąt i pomyślnego Nowego Roku! Wiwat! Wiwat!

W podskokach pobiegł do pokoju bawialnego i tam przystanął zadyszany.

— Wszystko w porządku! — wołał, rozglądając się dokoła. — Oto rondelek, w którym odgrzewałem swój kleik! Oto drzwi, przez które wszedł duch Marleya! Oto miejsce, gdzie siedział Duch Tegorocznego Bożego Narodzenia! Oto okno, z którego patrzyłem na błędzące w powietrzu duchy! Wszystko w porządku! Wszystko na swoim miejscu! Wszystko prawda! Wszystko to się działo! Ha, ha, ha!

Z ust człowieka, który przez tyle lat się nie śmiał, śmiech teraz wydobywał się dziwnie... Był to jakby początek nieskończonego, radosnego śmiechu przyszłości.

— Nie wiem, którego dziś mamy — monologował Scrooge — nie wiem też, jak długo przebywałem z duchami. Nic nie wiem. Jestem jak nowo narodzone dziecko. Ale mniejsza z tym. Właśnie pragnę być dzieckiem. Wiwat!...

Jego okrzyki zostały przytłumione przez dzwony kościelne, które wydobywały z siebie najweselsze brzmienia, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się słyszeć.

— Diń, diń, don, bum! Diń, diń, don, bum! Ding, dong! Ding dong!

Cudownie! Wspaniale! Zachwycająco!

Pobiegł do okna, otworzył je i wychylił się z niego.

Ani mgły, ani wilgoci.

Jasny, pogodny, mroźny dzień, jeden z tych, które rzeźwią i rozweselają duszę, pobudzając krew do energiczniejszego krążenia. Promieniejące słońce, jasne niebo, czyste powietrze, wesoły odgłos dzwonów!

Wspaniale! Zachwycająco!

— Co to dziś mamy za dzień? — zapytał przez okno małego chłopca w odświętnym ubraniu, który zatrzymał się przed oknem może dlatego, żeby się Scrooge'owi przypatrzeć.

— Co? — mruknął chłopiec mocno zdziwiony.

— Pytam, jaki dzień dziś mamy, mój chłopaczku — powtórzył Scrooge.

— Dzisiaj? Oczywiście Boże Narodzenie — odparł chłopiec.

— Boże Narodzenie? — szepnęła Scrooge. — Więc go nie straciłem. Duchy dokonały wszystkiego w ciągu jednej nocy. Rozumie się, że mogą one robić wszystko, co im się żywnie podoba. Kto by o tym śmiał wątpić. Wiadomo, że są wszechwładne. Hej! Pójdź tu bliżej, miły chłopaczku!

— Czego pan sobie życzy?

— Czy wiesz, gdzie jest sklep z drobiem? Z bitym drobiem? O tam, na rogu drugiej ulicy.

— Wiem. Znam doskonale ten sklep.

— Mądry chłopak! — szepnął do siebie Scrooge. — Inteligentny chłopak! Bardzo roztropny chłopak.

A głośno dodał:

— Nie wiesz przypadkiem, czy nie sprzedali tego wielkiego indyka, który wczoraj wieczorem jeszcze wisiał w oknie wystawy? Tego największego?

— Aha, tego tak wielkiego, jak, nie przymierzając, ja cały?

— Dowcipny chłopak! Zdumiewający chłopak! — zachwycił się Scrooge. — Prawdziwa przyjemność rozmawiać z takim malcem... Tak, tak, mój koteczku, ten sam.

— Wisi tam jeszcze.

— Czy być może?! — zawołał Scrooge uradowany — A więc biegnij i kup go.

— Pan sobie ze mnie żartuje... — wzruszył ramionami chłopiec.

— Ależ nie, wcale nie żartuję — zapewniał Scrooge — mówię najzupełniej serio. Idź, kup tego indyka i każ go przynieść tutaj, a ja wskażę, komu go należy doręczyć. Wróc tu ze służącym sklepowym, dostaniesz za to szylinga. Jeżeli się załatwisz prędzej i wrócisz za pół godziny, to dostaniesz całą koronę.

Chłopiec pomknął jak kula. Chcąc wypuścić strzałę z mniejszą o połowę szybkością, trzeba byłoby znaleźć łucznika z niezwykle silną ręką.

— Poślę tego indyka mojemu pomocnikowi — szeptał do siebie Scrooge, zacierając ręce i uśmiechając się wesoło. — Ręczę, że ani mu na myśl nie przyjdzie, kto mu go przysyła. Indyk jest co najmniej dwa razy tak duży, jak Mały Tim. Jestem pewien, że Bob nie będzie się gniewał za tę niespodziankę. To figiel, co się zowie!

Napisał adres niezwykle pewną ręką, zszedł na dół otworzyć drzwi i czekać tam na indyka.

Gdy stał przed drzwiami, uwagę jego zwróciła kołatka.

— Poczciwa! Będę cię kochał, dopóki życia mi starczy... — zawołał, głaszcząc pieszczotliwie kołatkę dłonią. — Dziwna rzecz, że nigdy przedtem nie zwróciłem na nią uwagi. A jednak jak ona sympatycznie wygląda! Dobra, kochana kołatka. Lecz oto indyk, Hej, daj go tutaj! Jak się masz chłopcze! Życzę ci wesołych świąt.

Indyk był w samej rzeczy ogromny. Trudno było nawet przypuścić, żeby tak wielki i ciężki ptak mógł się utrzymać na własnych nogach. Chyba nie. Złamałyby się pod jego ciężarem jak dwie laski laku.

— Ale ty, przyjacielu — rzekł Scrooge — nie dodźwigasz go do Camden Town. Musisz wziąć fiakra.

Mówiąc to, odliczył należność za indyka i za fiakra, a śmiał się przy tym nieustannie. Wróciwszy na górę i usiadłszy w fotelu cały spocony i zadyszany, wciąż się śmiał jeszcze.

Niełatwo mu przyszło ogolić się, ponieważ ręce mu drżały, a wiadomo przecież, że ta czynność wymaga wielkiej uwagi nawet wtedy, kiedy się ją wykonuje podczas tańca. Ale gdyby nawet odciął sobie brzytwą kawałek nosa, to i wówczas nie straciłby dobrego humoru; zalepiłby ranę plasterkiem gumowym i nie myślałby więcej o niej.

Ogoliwszy się, przywdział najlepsze ubranie i wyszedł przejść się nieco.

Ludzie już wyroili się z domów i snuli się tłumnie, weseli, ożywieni, zupełnie tak samo, jak wtedy, kiedy odbywał wędrowkę po ulicach Londynu z Duchem Tegorocznego Bożego Narodzenia.

Z założonymi w tył rękoma Scrooge szedł z wolna, patrząc na wszystkich z wesołym uśmiechem. Miał tak sympatyczną minę, że trzech czy czterech jegomościów, już w dobrych humorach, zaczęło go słowami:

— Dzień dobry, sir! Życzymy wesołych świąt!

Scrooge często potem zapewniał, że nigdy w życiu nie słyszał słów, które by równie przyjemnie brzmiały.

Przeszedłszy kilka kroków, spostrzegł idącego naprzeciw poważnego jegomościa, który odwiedził go wczoraj w kantorze, zapytując: „Firma Scrooge i Marley, jeżeli się nie mylę?”.

Scrooge doznał uczucia wstydu na myśl, że ten jegomość obrzuci go pogardliwym wzrokiem, lecz jednocześnie zrozumiał, jak powinien postąpić. Zbliżył się przeto do niego, chwycił za obie ręce i ściskając je, rzekł:

— Witam pana. Jakże zdrowie? Spodziewam się, że kwesta wczorajsza udała się pomyślnie? Nieprawdaż? Pański sposób myślenia jest wysoce szlachetny, zaszczyt panu przynosi. Życzę panu wesołych świąt.

— Pan Scrooge?

— Tak, to moje nazwisko. Niech mi będzie wolno usprawiedliwić się przed panem... Otóż czy bym nie mógł prosić pana...

Tu Scrooge coś mu szepnął do ucha.

— Czy ja dobrze usłyszałem? — zawołał tamten oszołomiony. — Drogi panie Scrooge, czy pan to mówi serio?

— Najzupełniej serio! Najzupełniej! — zapewniał Scrooge. — Ani pensa mniej. Nadmienię jeszcze, że płacę stary dług. Więc mogę się spodziewać?

— Ale, drogi panie — odpowiedział jegomość, serdecznie ściskając dłoń Scrooge'a — nie wiem doprawdy, jak mam panu dziękować za tak hojną ofia...

— Ani słowa o tym — przerwał Scrooge — bardzo pana proszę, niech to zostanie między nami. Zechce mnie pan tylko odwiedzić? Czy mogę na to liczyć?

— Ależ z całą pewnością! — zawołał skwapliwie poważny jegomość.

Nie ulegało wątpliwości, że ma szczerzy i niezłomny zamiar jak najrychlej złożyć wizytę Scrooge'owi.

— Dziękuję panu — rzekł Scrooge — nieskończenie jestem panu wdzięczny! Do miłego widzenia!

Wszedł do kościoła, potem przeszedł kilka ulic, uważnie obserwując spotykanych ludzi. Głaskał pieszczotliwie główki mijających go dzieci, wypytywał i obdarzał żebraków, zaglądał do suterren i w okna mieszkań parterowych. Wszystko mu się nadzwyczajnie podobało. Nigdy nie przypuszczał, żeby zwykła przechadzka mogła dostarczyć tyle przyjemności.

Po południu skierował się ku dzielnicy, w której mieszkał jego siostrzeniec.

Kilkanaście razy przeszedł przed domem, zanim odważył się wejść do sieni i zapukać do drzwi.

— Czy pan w domu, moje dziecko? — zapytał służącą, młodą i ładną dziewczynę.

— W domu, panie.

— Gdzie jest?

— W jadalni, razem z panią. Niech pan pozwoli, zaprowadzę.

— Dziękuję ci pięknie, dziecko, sam pójdę. Pan twój zna mnie dobrze.

To rzekłszy, Scrooge zbliżył się do jadalni, ostrożnie nacisnął klamkę i wsunął głowę przez uchylone drzwi.

W tej chwili właśnie odbywał się tam przegląd świątecznie zastawionego stołu. Małżonkowie dokonywali tej czynności bardzo skrupulatnie, jak przystoi na młodą parę, która jest zwykle na tym punkcie bardzo drażliwa i pragnęłaby pod tym względem stać ponad wszelką krytykę.

— Fred! — szepnął Scrooge.

Siostrzenica Scrooge'a drgnęła, jakby wstrząśnięta niewymownie przykrym uczuciem. Gdyby Scrooge był zauważył, że siedziała w wygodnym fortelu, ze

stołeczkiem pod nogami, przypatrując się z całą uwagą nakryciu, nigdy nie ośmieliliby się jej zaniepokoić w ten sposób.

— Kto tam?— krzyknął Fred. — Któż, u Boga?

— To ja, twój wuj, Scrooge. Przychodzę zjeść z wami obiad. Czy mogę wejść?

Czy może wejść? Także pytanie! Scrooge powinien był podziękować Bogu, że siostrzeniec z radości nie urwał mu ręki przy powitaniu...

Po upływie dziesięciu minut Scrooge czuł się tutaj jak we własnym domu. Niepodobna sobie wyobrazić coś serdeczniejszego nad przyjęcie, jakiego doznał. Żona Freda nie dała się wyprzedzić mężowi, jak również Topper, owa mała, pulchna siostra żony Freda i zresztą wszyscy goście, którzy się kolejno zjawiali. Zachwycające było całe towarzystwo, zachwycająco się bawili, zachwycająca harmonia panowała w tym kółku... Szczęście! Prawdziwe szczęście!

Nazajutrz jednak Scrooge udał się do kantoru.

Wstał wcześniej, wcześniej niż zwykle, gdyż pragnął koniecznie złapać Boba na spóźnieniu. Bardzo tego pragnął. I udało mu się to. Miał tę przyjemność. Zegar wybił dziewiątą — Boba jeszcze nie było. Kwadrans po dziewiątej — jeszcze go nie ma. Spóźnił się o całe osiemnaście i pół minuty. Scrooge otworzył szeroko drzwi do swego pokoju, aby widzieć, jak Cratchit będzie się przemykał do swej wyzębionej komórki.

Bob już w sieni zdjął kapelusz i szalik, a otworzywszy drzwi, w jednej chwili usiadł na swoim stołku i pióro jego zaczęło tak szybko biegać po papierze, jakby chciało dopędzić ubiegły czas.

— A to co? — burknął Scrooge, starając się swemu głosowi nadać ton jak najbardziej surowy. — Jak można tak się opóźniać? Co pan sobie myśli?

— Istotnie, winien jestem — szepnął pokornie Cratchit — bardzo pana przepraszam za spóźnienie...

— Spóźnienie! — burknął znów Scrooge. — Ja sędzę, że to porządne spóźnienie. Proszę tu do mnie!

— Przecież zdarzyło się to tylko raz w ciągu całego roku... — usprawiedliwiał się Cratchit, wychodząc ze swej nory. — Nie powtórzy się to więcej, zapewniam pana. Wczoraj zabawiłem się trochę.

— Wszystko to bardzo pięknie — przerwał mu Scrooge — muszę jednak oświadczyć panu, że wcale nie myślę dłużej znosić czegoś podobnego. Dlatego — ciągnął dalej, zeskakując szybko z krzesła i dając Bobowi takiego kuksańca, że się aż zatoczył do swej komórki — dlatego... podwyższam panu pensję!

Bob, przerażony, rzucił się do linii, leżącej na kantorku. Miał zamiar, uzbroiwszy się w nią, schwycić Scrooge'a za kołnierz, zwołać ludzi z ulicy i przy ich pomocy wpakować pryncypała w kaftan bezpieczeństwa.

Lecz do tego nie doszło.

— Życzę ci wesołych świąt, Robercie! — odezwał się Scrooge tak poważnie i tak serdecznie, że nie można było wątpić o szczerości jego słów, tym bardziej, że jednocześnie poklepał Boba po ramieniu z poufałością dobrego przyjaciela. — Z całego serca pragnę, aby święta tegoroczne wynagrodziły ci wszystkie święta dawne, któreś ze mną spędził. Tak jest, Robercie, podwyższam ci pensję i wszelkich starań dołożę, aby postawić na nogi twoją rodzinę, upadającą z przepracowania. Rozpatrzmy tę sprawę dziś po południu, przy szklance gorącego grogu. A teraz, Robercie, rozpal porządnego ogień na kominku i nie żałuj węgla!

Scrooge zrobił więcej niż obiecał. Co zaś do maleńkiego Tima, który wcale nie umarł, Scrooge był odtąd dla niego drugim ojcem.

Zmienił się zupełnie. Odtąd był tak dobrym przyjacielem, tak dobrym chlebodawcą, tak dobrym człowiekiem, jakimi bywali dobrzy ludzie za dobrych, starych czasów, w dobrym, starym kraju, w dobrym, starym mieście, na dobrym, starym świecie. Niektórzy szydzili z tej zmiany, lecz on nie zwracał wcale na to uwagi. Miał tyle rozumu, że wiedział, iż wszystko dobre na świecie zawsze jest przedmiotem szyderstwa ze strony pewnego rodzaju ludzi. Ponieważ tych ludzi należy uważać za ślepych, Scrooge sądził zatem, że lepiej, aby ich kalectwo ujawniało się w postaci zmarszczek dokoła oczu, wywołanych ustawicznym wyśmiewaniem się z bliźnich, niż w jakiejś mniej przyjemnej postaci, jego dusza była pełna pogody i wesela — to mu zupełnie wystarczało do szczęścia. Z duchami już więcej nie miał żadnych stosunków, natomiast pozawiazywał stosunki z ludźmi, podtrzymywał je usilnie, a całe jego życie toczyło się wśród dobrych uczynków. Jakoż mówiono potem o nim, że nikt tak przykładowie nie obchodzi świąt Bożego Narodzenia, jak on.

Życzę wam z całej duszy, żeby tak samo o was mówiono, czytelnicy, o mnie i o wszystkich, a wtedy — jak to pięknie powiedział maleńki Tim — Bóg będzie błogosławił wszystkim i każdemu z osobna.

Koniec.

Przeczytaj także:

Opowieść wigilijna - Streszczenie szczegółowe

Opowieść wigilijna - Streszczenie krótkie

Opowieść wigilijna - Plan wydarzeń

Opowieść wigilijna - Charakterystyka bohaterów

Opowieść wigilijna - Czas i miejsce akcji

Opowieść wigilijna - Geneza utworu i gatunek

Opowieść wigilijna - Biografia autora

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Charles Dickens, *Opowieść wigilijna*. *Opowieść fantastyczna z ilustracjami*, Wydawnictwo Feliksa Owczarka, Łódź 1947.